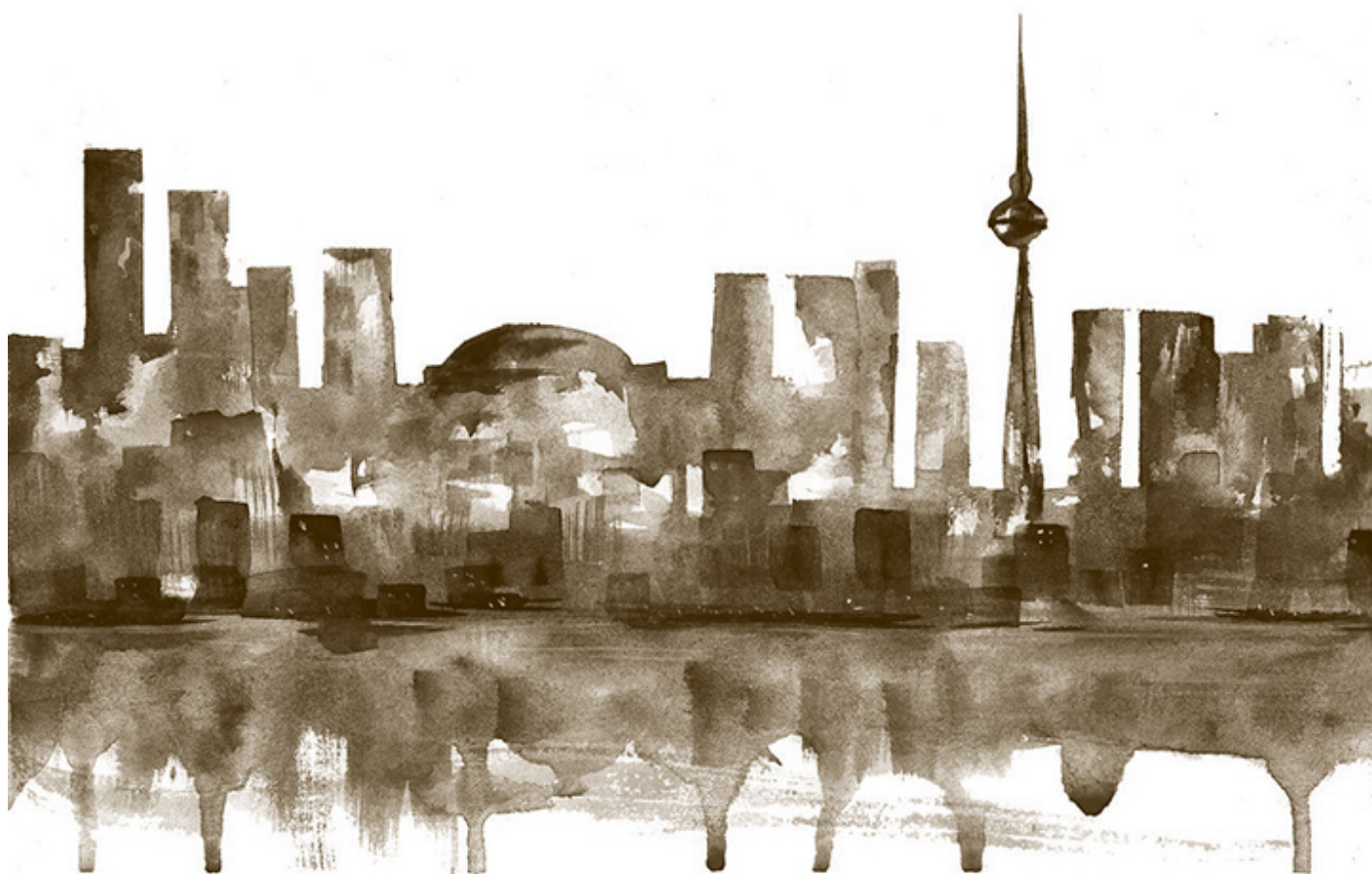


Słowa na podśluchu



Toronto, fot. pixabay.com

Monika Dąbrowska (*Toronto*)

Profesorowi Florianowi Śmieji

Rzekłbym: pod wpływem angielszczyzny wytwarza się tu osobny, polsko-amerykański język, (którego wyrazy potoczne są polskie, wszystkie zaś inne angielskie). (...) I tak, w każdym piśmie zamiast: kolej żelazna - znajdziesz - rajlrod, zamiast: bilet - tykiet, (...) zamiast: kancelaria - ofis, (...) zamiast hipoteka - morgedż lub ded (...).

Dalej, pod wpływem składni angielskiej rodzą się takie wyrażenia, jak - dziecko tyle a tyle lat stare; robić życie; człowiek wart tyle a tyle dolarów; robisz mnie śmiać się; nie słyszałem nikogo mówić; wczorajsze papiery pisały; fuliszujesz mnie; well, drogi panie; certainly, kochany panie!

.*

Takimi spostrzeżeniami, w latach 1876-78, dzielił się z czytelnikami, w swoich „Listach z podróży do Ameryki” Henryk Sienkiewicz.

W roku 1979, trochę ponad sto lat po podróży Sienkiewicza do Ameryki, zetknęłam się po raz pierwszy z Polonią północnoamerykańską, nie w Stanach Zjednoczonych, ale w Kanadzie. Będąc wtedy studentką iberystyki na Wydziale Neofilologii Uniwersytetu Warszawskiego i znając już nieźle angielski, uczyłam się nie tylko nowego języka - hiszpańskiego, ale uczyłam się o języku w ogóle. Z ciekawością więc,

przysłuchiwałam się rozmowom Polaków mieszkających na stałe w Toronto i okolicach. Do dziś pamiętam mężczyznę, który przed budynkiem Credit Union w Toronto, tłumaczył swojemu koledze, powód niskiego czynszu omawianego przez obu panów mieszkania.

- No, Stachu, nie *czardżują* dużo za ten *apartment*, bo jest na najwyższej *podłodze*, a tam *rufa likuje*.

Nie zapomnę również, swojej rozmowy z ekspedientką jednego ze sklepów spożywczych, przy ulicy Roncesvalles, gdzie wówczas koncentrowało się życie Polonii:

ja: - Poproszę kilo schabu.

ona: - Czy *wybonować*?

ja: - Mówi Pani, że można usunąć kości?

ona: - *Szur*, że można. To, jak? *Bonować*, czy nie?

Język Polonii był bardzo zróżnicowany. Większość wtrącała słowa angielskie, bądź przystosowywała je do polskiej fleksji. Byli tacy, którzy kaleczyli polszczyznę w sposób dramatyczny, przy czym ich angielski był równie żałosny. Co ciekawe, stopień poprawności językowej mówiącego, niekoniecznie przekładał się na liczbę lat spędzonych poza Polską. Spotykałam też Polaków, którzy mówili świetnie zarówno po polsku jak i po angielsku. Jednym z najwybitniejszych przedstawicieli Polonii kanadyjskiej

był Profesor Florian Śmieja, poeta, tłumacz, badacz literatury hiszpańskiej. Zostałam mu przedstawiona w roku 1981, przez Profesora Kurta Leviego, szefa Katedry Iberystyki (Spanish and Portuguese Department) na Uniwersytecie Torontońskim. Z pracą translatorską Profesora Śmieji, zetknęłam się jeszcze na Uniwersytecie Warszawskim, gdy wraz z innymi studentami pracowaliśmy nad dziełem Juana Ramona Jimeneza, „Platero y yo”. Nie wiedziałam wtedy, że wkrótce poznam osobiście wspaniałego tłumacza i że przez wiele, wiele lat potem, będę czerpać z jego wiedzy i cieszyć się jego przyjaźnią. Florian Śmieja, notabene rodowity Ślązak, pomimo tego, że musiał opuścić Polskę jako młody chłopak, językiem polskim władał po mistrzowsku. Spotkania z Profesorem, były zawsze źródłem radości, bo każde jego zdanie wypowiedziane piękną polszczyzną, emanowało erudycją, inteligencją i dowcipem.

Podróżując pomiędzy Kanadą i Polską przez ponad trzydzieści lat, przyglądam się zawsze wpływom języka angielskiego na język polski używany w Kraju. Na kilka dni przed wyjazdem do Polski ostatniej jesieni, dostałam telefon od kuzynki z Warszawy, z prośbą o cztery książki Margaret Atwood. Gdy pojawiając się u niej z wszystkimi egzemplarzami, o które prosiła, woła zachwycona: „*Wow, wow, wow*”, jesteś *the best!* *Sorry*, że tak mało czasu ci dałam.” „Nie szkodzi”, mówię. „Wiem, jak jesteś zajęta”. „*No, dokładnie*”, odpowiada kuzynka. „*Bizy w domu, bizy w pracy, a po pracy mamy jeszcze różne iwęty.*”

Wracając do siebie, włączam radio w samochodzie i słyszę, że krem marki X, *dedykowany* dla skóry suchej, poprawia jej (tej skóry) *kondycję* o 49%, już po trzecim użyciu. A efekt „wow”, jest po tygodniu. Nieopodal domu, zatrzymuję się przy sklepie warzywnym żeby kupić jabłka. Mam do wyboru *Szampiony* (sic), *Empajery* i *Goldeny*. „*Empajer* mam w *promocji* tylko do *wykendu*” – mówi sprzedawczyni, z naciskiem na ostatnie słowo. „Rany Julek”, myślę sobie, w Warszawie jak w Toronto!

Anglicyzmy są w języku polskim od dawna. Jednym z pierwszych słów było pewnie słowo „lord”, które pojawiło się w polszczyźnie już w XVII wieku. W kolejnych wiekach przenikały słowa z dziedziny marynistyki, handlu, sportu, ekonomii, informatyki. Przełomowym był rok 1989, bo zapoczątkował dynamiczne zmiany polityczne, ekonomiczne i kulturowe. Wiele słów angielskich przeniknęło do języka polskiego i już w nim zostały. Dziś trudno sobie wyobrazić, opisanie pewnych zjawisk czy realiów z dziedziny ekonomii, bądź technologii komputerowej bez takich słów jak marketing, spółki joint venture, czy choćby komputer lub e-mail. Kiedyś źródłem zapożyczeń była łacina, potem francuski i niemiecki. Obecnie jest to angielski. Leży przede mną Słownik Wyrazów Obcych i Zwrotów Obcojęzycznych Władysława Kopalińskiego z 1985 roku. Słownik ten zawiera 16 000 haseł, a oceniony został przez autora jako słownik średnich tylko rozmiarów.

Język, jak żywy organizm ewoluuje i zmienia się ciągle. Jest to normalny proces. Warto jednak mieć na uwadze, aby anglicyzmów nie nadużywać, nie wtrącać słów angielskich gdy istnieją dobre odpowiedniki polskie, nie wprowadzać kalek językowych, albo co gorsza, hybryd typu „demolizować budynki”, czy „wybonować mięso”. Warto też korzystać z bogactwa języka polskiego i nie ograniczać rozmowy do kilku utartych zwrotów, choćby nawet były bardzo popularne.

Chodzi przecież o to, “aby język giętki, powiedział wszystko co pomyśli głowa”.

*pp. 498-499, Henryk Sienkiewicz -”Listy z podróży do Ameryki”, Wydawnictwo-SBM, Warszawa 2022

*

Zobacz też:

Śladami Srebronia: Juan Ramón Jimenez (1881-1958).

Kosmiczna podróż Kazimierza Głaza (1931-2023)



Kazimierz Głaz (z lewej) i Krzysztof Kasprzyk, Elbląg 2009 r., fot. Krzysztof Kasprzyk

Krzysztof Kasprzyk (*Toronto, Sopot, Patagonia, cały świat*)

W pierwszym dniu jesieni, 23 września, z przejęciem śledziłem powrót na Ziemię kosmicznej sondy Osiris Rex, z próbkami z asteroidy Benu, krążącej gdzieś w niewiarygodnie dalekich głębiach Wszechświata, nie wiedząc, iż minęła się ona dzień wcześniej z ulatującą, ku owym niezmiernym głębiom, artystyczną duszą mego przyjaciela z Toronto, malarza i grafika, Kazimierza Głaza.

Wędrowka dusz, o której z Głazem nie raz rozmawialiśmy, wychodząc oczywiście od jego ulubionej sztuki bizantyjskiej, lecz także zahaczając o egipski sennik, poglądy Zoroastrian, a najczęściej o wierzenia Pierwszych Narodów Kanady, zawierają ów *spiritual movement*, przejawiający się nie tyle i nie tylko po śmierci, ale przede wszystkim w życiu wielkich artystów, w ich duszach i ciałach. W ich wytrwałych i nieustannych poszukiwaniach ekspresji artystycznego wyrazu, interpretacji i przetwarzaniu rzeczywistości. Spotkania z panem Kazimierzem, bo do końca nie byliśmy na „ty” i owo zwracanie się do siebie per „Panie Kazimierzu” (ja często dodawałem „Drogi”, w domyśle „Bezcenny”) czy „Panie Krzysztofie”, były swoistym ceremoniałem. Każdorazowo stawały się uroczystością i wielkim zastrzykiem intelektualnej energii ku dalszym życiowym peregrynacjom.

Ciągnęły się latami (poznaliśmy się w 1987 roku) poprzez maile i długie telefoniczne rozmowy. Za wyjątkiem ostatniej, krótkiej,

odbytej z początkiem czerwca tego roku w Toronto, gdy dotarło do mnie, że momentami jest on jakby już w innych rejonach. Jednak sądzę, że nie omylę się twierdząc, że czasami Głaz był o wiele wcześniej w innych rejonach, gdy nieobecny *TU*, wyłapywał *STAMTĄD*, hausty natchnienia i przemyśleń, co mu się nawet zdarzało w czasie spaceru ulicą.

I nasze niezapomniane rozmowy osobiste – gęste, intelektualne, przekorne; uwielbiał stawiać kontrę jakimś stwierdzeniom, by zaognić dyskusję i oświetlać różne punkty widzenia. Czasem się ostro spieraliśmy o sztukę współczesną, której w wielu przejawach nie znoszę i nie považam z racji jej pustego narcyzmu, efekciarstwa i wręcz marketingowych wymysłów. W jego domu na Roncesvalles, a potem dwukrotnie w małym, podniebnym mieszkanku w centrum Toronto, przy spotkaniach w restauracji „Polonez”, gdzie z zadowoleniem pałaszował pierogi lub przypadkowo, kiedy się natykaliśmy na siebie podczas zakupów w polskich sklepach, w byłej „polskiej dzielnicy” na Roncesvalles.



mg. woodcut - 15. 9. 12 85

Drzeworyt, który posłużył za projekt okładki książki Kazimierza Głaza „Gombrowicz w Vence” z 1985 r.

Jednakże ostatnimi laty najczęściej spotykaliśmy się w kawiarni Starbucks przy głównej i znanej torontońskiej ulicy Yonge (kawiarnia już nie istnieje; po pandemii Yonge wygląda w wielu miejscach tak jakby ją wypruto - bankructwa). Trzykrotnie spotkaliśmy się w Polsce - na krakowskim Rynku, który Głaz wprost uwielbiał i na jego wystawie w Elblągu, kiedy postanowiłem, nic nie mówiąc, zrobić mu niespodziankę i się tam pojawić. W ostatnich latach nasze spotkania zakłóciły moje

wielomiesięczne wyjazdy do Patagonii, następnie pandemia, a potem jego kłopoty zdrowotne i posunięty wiek.

W tej kawiarni na ulicy Yonge, mieliśmy długie, czasem dwugodzinne posiedzenia. Któregoś roku, a było to jeszcze przed pandemią, Głaz zdumiał mnie nagle mówiąc o ludziach, podążających reprezentacyjną ulicą Toronto: „Niech pan spojrzy. Ci ludzie – iluż bezdomnych. Alkoholicy i narkomani. Coraz większa ilość chorych psychicznie. Najlepszy kraj na świecie! Jestem poruszony i przerażony. Sygnał nadchodzącego końca”. Być może dlatego przestał tam chodzić na niemal codzienne zaleganie przy kawie, w wygodnych, klubowych fotelach.

Kiedyś wzbudziliśmy tam ogólne zdziwienie, gdy w przyływie starczego zaniku pamięci nie mogliśmy sobie przypomnieć nazwy miasta w której mieszkał Marc Chagall i po parunastu minutach jednocześnie doznaliśmy olśnienia, wykrzykując triumfalnie na cały głos „Witebsk”. Chagall był bardzo ważny w życiu Głaza, bo niejako otworzył mu drogę na Zachód, co finalnie skończyło się osiedleniem w Toronto. Chagall na IV Międzynarodowym Bienale Malarstwa w Paryżu zoczył prace Głaza i scedował na niego swoją Nagrodę Erazmusa, co umożliwiło panu Kazimierzowi trzyletni pobyt we Francji i wyrwanie się z coraz bardziej dusznych objęć PRL-u.

Owe prace, zatytułowane *Impresje moskiewskie*, były wysłane do

Paryża po nagrodzie dla nich na Biennale Młodych w Sopocie, w 1965 roku. I jak tu nie wierzyć memu innemu, torontońskiemu przyjacielowi, Duke Redbird'owi, że nic w naszym życiu nie dzieje się przypadkiem. Dokładniej – dzieje się przypadkiem, ale za nim kryją się niemal zawsze inne sensy, które trzeba umieć odczytywać, a nadto mieć na nie wyczuloną wrażliwość. A ponieważ wierzę także w teorie zataczania kół Borgesa, bo często powracamy w te same miejsca; te wspomnienia Głazowe piszę w Sopocie, gdzie mieszkałem onegdaj przez 21 lat, półtora kilometra w linii prostej od mego byłego domu, w roku 2001 zaszedłem tam do dyrekcji Państwowej Galerii Sztuki, z pomysłem zorganizowania wystawy na 40 lecie debiutu Głaza. Wystawy jego wspaniałych gwaszy i prac z cyklu bizantyjskiego. Zaproponowałem również spotkanie literackie, bowiem publikował małe eseje i opowiadania, a Wydawnictwo Literackie w 1989 roku wydało jego książkę „Gombrowicz w Vence”.

Styl bycia Głaza i snuty przez niego barwnych opowieści, to był styl umiejscowiony gdzieś pomiędzy Giedroyciem a Gombrowiczem. Wdzięk intelektualny i artystyczny z podkładem solidności i powagi, z domieszką ironii i dystansu do samego siebie oraz wyniesionej z PRL-u w młodych latach artystycznej zadziorności umiejętności sprytnego poruszania się w zastanej rzeczywistości. To się później nader przydało w Kanadzie, kiedy powołał do życia centrum sztuki – *Toronto Center for Contemporary Art*, której siedzibą był jego wynajęty dom na ulicy

Roncesvalles. W Kanadzie u schyłku lat 60. zaczęło się mocne inwestowanie w kulturę i panowała wielka otwartość na pomysły w tej dziedzinie, a także znajdowały się pieniądze. Głaz szybko i umiejętnie wykorzystał owe otwierające się możliwości uzyskania dotacji i poprowadzenia dalszego życia, w nieoderwaniu od jego artystycznej działalności. Prowadził także od czasu do czasu zajęcia plastyczne w szkołach torontońskich oraz był profesorem rysunku i grafiki na Wydziale Sztuki Centralnej Szkoły Technicznej. I zabiegał o umieszczenie swoich prac w kanadyjskich centrach sztuki, a potem w wielu światowych muzeach sztuki współczesnej (m.in. Tokio, Nowy Jork, Sao Paulo).



*Od lewej: Witold Gombrowicz, Jozef Jarema, Kazimierz Głaz.
Zdjęcie zostało zrobione w Galerie Odile Harel w Vence, fot.*

arch. Kazimierza Głaza.

Ironię zaczerpnął Głaz od Gombrowicza, ową zaczepliwość ku prowokowaniu dyskusji. Poznał się z Gombrowiczem jako 35-cio letni malarz, a Gombrowicz za malarstwem nie przepadał i uskuteczniał z zapalem swoje prowokacje. Głaz w Vence spotkał się także z Chagallem, Miro i Maxem Ernstem i wieloma innymi osobami, gdzie znalazł się w 1966 roku dzięki kolejnemu stypendium - z Fundacji Michael Karolyi. Dwuletni pobyt obrodził specjalnym cyklem prac, zatytułowanym *Vibrations du Midi*, w których starał się oddać swoje zafascynowanie południowym, śródziemnomorskim światłem. Uważam, że zdecydowanie była to kontynuacja jego skłonności do tworzenia prac w tematycznych cyklach, które zapoczątkowały *Impresje moskiewskie*.

Był także nieustannie zafascynowany tamtym rejonem świata, gdzie często się z Toronto wyprawiał - Hiszpania, Portugalia, południowa Francja, Italia i Grecja, znając przy tym parę języków, co natychmiast ułatwia kontakt, a także pogłębia znajomości. Głaz mnie regularnie i bezlitośnie zawstydział moją niezajomością innych języków, w ostatnich latach szczególnie w odniesieniu do hiszpańskiego. Sam natomiast dokonywał nawet swoistych szarż, na przykład organizując na jakiejś greckiej wyspie wykład w lokalnej tawernie, na który w większości przybyli rybacy. Wykład był - a jakże - o geometrii bizantyjskiej po... grecku i jak sam powiedział „chyba nic nie rozumieli, ale

wysłuchali i nagrodzili brawami”. Zapytałem nieco ironicznie – „Nie rozumieli z powodu pana języka greckiego?” „Ależ nie – odpowiedział z szelmowskim uśmiechem – z powodu geometrii”.

Sądziłem, że moja propozycja o wystawie i spotkaniu z tak wybitnym artystą, z szerokimi horyzontami i ciekawymi doświadczeniami, zostanie przyjęta w Sopocie z entuzjazmem. O ja naiwny! Już wtedy nie tylko zaczęła się choroba celebryctwa i podziałów opartych na układach, włącznie z politycznymi, ale przede wszystkim takie pojęcia jak intelekt czy artystyczne zainteresowania, zaczęły być natrętnym, zbędnym i niepotrzebnym balastem. Był to drugi okres eksplozji dorabiania się, po przeważnie bandyckich latach 90., a zdrowy snobizm u bogatych, jeszcze się nie wykształcił. Zresztą do dziś. Po pierwsze, dyrektorowi galerii nazwisko i twórczość Głaza nic nie mówiły. Podobna sytuacja do tej, kiedy opowiadałem w Polsce o wybitnym pilocie z Kanady, Januszu Żurakowskim – trzepotanie rzęs i zakłopotanie – któż zacz... Wymieniliśmy maile, podałem dyrektorowi link do Głaza na Internecie, zobowiązałem się do aktywnej współorganizacji wystawy i spotkania, i zapadła cisza.

Gdy zwiedzałem, w kwietniu 2011 roku, muzeum sztuki współczesnej Guggenheim’a w Bilbao, pomyślałem, że jest to dobre miejsce na wystawę Głaza. Z sekretariatu muzeum otrzymałem adres mailowy i jeszcze z Polski nadesłałem im propozycję, wraz z załącznikami do prac pana Kazimierza.

Różnica pomiędzy profesjonalnymi pracownikami i ludźmi w ogóle, w Hiszpanii a w Polsce, polega na tym, że po tygodniu dostałem z Bilbao odpowiedź, że dziękują za propozycję, przejrzeni ciekawe prace artysty, lecz mają plan wystaw opracowany na pięć lat z góry i może w odległej przyszłości będzie można coś zrobić. Formuła taka, jak i popularne „będziemy w kontakcie”, jest w świecie Zachodnim uprzejmą formą zbycia. Lecz człowiek nie czuje się ani natrętem, ani kimś zlekceważonym i zamiast zgrzytać zębami i parskać, nawet się pogodnie mości w sobie. To zasada podobna tej ze starego chińskiego powiedzenia: „Jak idziesz w górę, to się wszystkim kłaniaj, bo może będziesz wracał tą samą drogą”.







Kazimierz Głaz, Gwasze

*

Dwa lata później znów postanowiłem zaatakować sopocką galerię, nie czekając na okrągłe rocznice, a mając na uwadze inne wzmożenie w tamtym czasie - kościelne, bo Kościół zaczął rozpychać się energicznie w rzeczywistości, a ludzie, nie tak jak dzisiaj, cali byli wręcz rozmodleni i łaskawie patrzyli na sztukę związaną z sacrum. Pomyślałem, że będzie można zorganizować

wystawę wspólnie z czynnikami kościelnymi, no bo przecież forma i styl prac Głaza, nie raz były odczytywane jako kontynuacja tworzenia ikon (wobec tej interpretacji pan Kazimierz wytrwale protestował). Okazało się, że jest nowy dyrektor, ale uprzednia forma kontaktu, konkretnie olania go, była taka sama. Bo dla dyrektora, całkiem uprzejmego, moja obecność była pojawieniem się jeźdźca znikąd, a postać Głaza całkowicie enigmatyczna.

Być może zaszedł też odruch tak trafnie opisany przez Janusza Głowackiego - nie daj Boże Polakowi osiągnąć sukces za granicą, stać się kimś. I skomplikowany splot odniesień na linii Polak w Polsce i Polak poza Polską. To przecież żenujące, owo negatywnie podbarwione określenie „życie na obczyźnie”, kiedy ktoś doskonale podziela w sobie dwu- lub wielowątkowość, żyjąc w jakimś kraju, a nie tracąc kontaktu z Polską. Nic w tym obcego - ani tu, ani tam. Emigracji lub osiedleniu często przypisuje się charakterystyczne piętno społeczne i kulturowe. Z jednej strony zachwyty Wielką Emigracją i jej idealizowanie wraz z pewnym zakłamywaniem, z drugiej potępienie, oskarżanie o zdradę, a przede wszystkim wygodnictwo. Zostało to rozwinięte do monstrualnych rozmiarów w PRL-u, gdy wymazywano także wybitnych, głównie z kulturalnej mapy.

Na argument, że jego prace są w najlepszych muzeach i galeriach na świecie, brew dyrektorowi sopockiej galerii nie

drgnęła. Po latach przyznałem się panu Kazimierzowi do mych sopockich podchodów za jego plecami. Był wzruszony, ale rzekł krótko „Niech pan da sobie spokój, panie Krzysztofie. Nie warto”. Być może dlatego Głaz starannie sam zadbał o swój dorobek i w ostatnich latach zdołał umieścić go w Polsce, zdeponować w zaprzyjaźnionych miejscach, głównie w Chełmie i we Wrocławiu, gdzie studiował i gdzie opracował teorie sensybilizmu, a wraz z Michałem Jędrzejewskim zorganizował pierwszy happening artystyczny w Polsce, w roku 1957.

W Vence poznał także kanadyjską rodzinę, która spędzała tam wakacje. Córka tych państwa zadurzyła się w panu Kazimierzu, z wzajemnością, i ta rodzina zaproponowała i sponsorowała przyjazd Głaza do Kanady w 1968 roku. Wyjeżdżał chętnie z Francji, bo poza zakochaniem, niezbyt gustował w rewolcie młodych (Paryski Maj 68). Po przyjeździe do Toronto, umknął, jak mi opowiadał „ze złotej klatki”, bowiem okazało się, że rodzina mieszka w jednej z najbogatszych dzielnic Toronto – Rosedale (mieszkam w Toronto, 10 minut na piechotę od niej, czyli kolejne koło stykowe Borgesa...). Miał się o nic nie martwić, wszystko było do załatwienia i ułożenia i... i pan Kazimierz zerwał narzeczeństwo. To podobny heroizm do późniejszej decyzji, że nigdy w życiu nie będzie miał agenta dla organizacji wystaw i sprzedaży swoich prac.

Kanadyjska panna była śliczną dziewczyną. Wiem, bo raz w życiu

widziałem ją wiele lat później, w polskiej restauracji na Roncesvalles. Piękna, szycowna kobieta. To był ich wieloletni ceremoniał – Kazimierza i jej (nie przypominam sobie, by mi podał jej imię). Na każdorazową rocznicę poznania się, Głaz zapraszał ją na pierogi do „Poloneza”.



Kazimierz Głaz, Anioł Stróż, luty 2019 r.

Głaz żył samotnie, lecz nie będąc samotnym. To też charakterystyczne, że w języku polskim istnieje jedno określenie na ów stan. W angielskim dwa – *lonliness* i *solitude*. Można je

przetłumaczyć jako „samotność” i „być samotnym”. Bo są ludzie żyjący z kimś lub wieloma osobami pod jednym dachem i bywają wręcz przeraźliwie samotni. Głaz, podobnie jak ja, często podróżował samotnie. Obaj doszliśmy do tego samego wniosku – samotność podróżnika wzbudza zaciekawienie u tzw. lokalsów, ułatwia kontakt, skłania do życzliwości i pomocy dla nieco zagubionego przecież *foreigner, extranjero, straniero*...Lecz pod zasadniczym warunkiem – okazywania szacunku Innemu i uczenia się, a nie pouczenia.

Kolorowa indywidualność Kazia, jak go poufale nazywaliśmy w gronie znajomych, przejawiała się w rozlicznych anegdotach, sporej dozie humoru i inteligentnej przewrotności. Wszystko to już zaistniało w wymyślonym i stale przetwarzanym (sporo nowych dodatków w miarę odkrywania nowinek artystycznych i naukowych) sensybilizmie, który zawierał wszystkie teorie świata, włącznie z tymi, których jeszcze nie odkryto.

Nie zapomnę z jakim rozbawieniem przyjął pan Kazimierz mój pozorowany zarzut, że w schemacie sensybilizmu nie uwzględnił jakże ważnego wynalazku, a mianowicie destylacji alkoholu. To słowo pochodzenia arabskiego (powszechnie wprowadzone dopiero od wieku XVI) – al- kuhl lub al-ghoul (może od niego pochodzi wyraz charakterystyczny dla przełykania „gul -gul”, a także „golnąć” sobie...) oznaczające drobny proszek, a także złego ducha. Ów „zły duch” wkroczył szerokim frontem w

destylacje wina (też ponoć wymyślona przez Arabów), głównie w Hiszpanii, Portugalii i Francji w wieku VIII, gdy Maurowie zasiedlali półwysep Iberyjski. Alkoholu używano najpierw jako środka leczniczego i dla przedłużania życia (sic!), nazywając go „eliksirem leczenia” lub „porywającą wodą”.

Ta woda porywała mnie kiedyś rzeczywiście regularnie, na rozlicznych wernisażach w Gdańsku, Sopocie, Warszawie, Berlinie i Toronto, gdy raczyłem się ulubionym czerwonym winem, które według mnie ułatwiało przyswajanie prac artystycznych, a przede wszystkim kontakt z twórcą i publicznością. W Toronto doszło do tego, że po paru latach pewien dyrektor galerii sztuki, Zbigniew P., przestał mnie powiadamiać o wernisażach. Gdy się dziwiłem czemuż tak o mnie zapomniano, właśnie Głaz mi to zdradził. Na me pytanie, dlaczego nie dostaje już zaproszeń na wernisaże, powiedział, że o to samo zapytał dyrektora galerii i usłyszał „bo wypija za dużo wina”.



Kazimierz Głaz, Kraków 2010 r., fot. Krzysztof Kasprzyk

A propos wystaw. Było dla mnie wielkim zaszczytem i jeszcze większą przyjemnością dwukrotnie pomagać panu Kazimierzowi w przygotowywaniu jego wystaw w Galerii Pekao w Toronto. Przy trzeciej wystawie, z roku 1989, nawet zostałem dopuszczony do aranżowania jego prac w przestrzeni – wyjątków z cyklu litografii *Approach III-Esoteric* i *The Power of Silence* oraz wspaniałych gwaszy z serii *The Essence*. Dzieła pana Kazimierza przyciągały mnie i wprost poruszały swoją niesamowitą kolorystyką, ich proporcją takiego dobierania, że odnosiło się wrażenie doskonałości – wszystko było na swoim miejscu, włącznie z emanującym z nich spokojem. Ten spokój z kolei był niejako uzyskany z zasady geometrii bizantyjskiej, w której Głaz nie tylko gustował, ale wręcz był w niej zakochany. Zasada trójstronnego podziału obrazu, najczęściej pod łukami i

wewnętrznej ramy, co wielu osobom i krytykom kojarzyło się z ikoną. Tego odniesienia pan Kazimierz wprost nie znosił, protestując, że to nie są współczesne ikony, ale właśnie zaczerpnięcie formy z głębin sztuki bizantyjskiej.

Nadto był zwolennikiem, zarówno w malarstwie, jak i pisaniu krótkich opowiadań, kojarzenia elementów najczęściej na zasadzie – z dwóch pozornie nieprzystających elementów, tworzy się trzeci, który wszystko dopełnia lub kreuje nowe pola interpretacji. Dlatego tak bardzo był zachwycony filmem „Babel” Alejandro Iñárritu, twórcy innego wspaniałego filmu „Zjawa”.

Bizancjum to było rozpięcie pomiędzy Wschodem a Zachodem, coś co nie raz napiętnowało nie tylko polskich artystów, lecz także wielu emigrantów i osiedleńców. Bizancjum – miks antyku (rzymskie tradycje, greckie zasady sztuki) z wczesnym Średniowieczem, naznaczonym wpływami nowej religii – chrześcijaństwa (stąd wspaniałe ikony). Jednakże wielu badaczy uważa, że Bizantyjczycy odeszli od greckiego kanonu sztuki – naśladowania rzeczywistości, wzbogaceni o duchowy, tajemniczy i przejmująco mistyczny wpływ Wschodu. Jeszcze inni twierdzą, że utracili zdolność odwzorowywania natury w sztuce. „Dziś raczej skłaniamy się ku sądowi, że sztuka bizantyjska oddaje specyficzną cechę całej kultury – przekonanie o nierozzerwalnym przenikaniu się światów wiecznego – Boskiego – oraz tymczasowego – ludzkiego. Tej skomplikowanej obecności Boga i

jego świętych w życiu ludzi, nie można było wyrazić poprzez kopiowanie natury. Dla Bizantyjczyków prawdziwy, realny sens rzeczywistości przekraczał porządek naturalny” [cytat za <https://zpe.gov.pl/a/kultura-i-religia-bizancjum-miedzy-wschodem-a-zachodem/Dm1Gvy82B>]



Rozmowa: Św. Mikołaj Cudotworec i Kazimierz Głaz. fot. Adam Krzemieniewski, Tretiakowska Galeria, Moskwa 1962 r., arch. Kazimierza Głaza.

W takim oto duchu się poruszał i w takiej oto materii działał Głaz, a pierwszym impulsem, w połączeniu z artystycznym

zachwytem, była w 1962 roku wizyta w Moskwie i Petersburgu (wtedy w Leningradzie), gdzie zobaczył w Galerii Tretiakowskiej ikonę Mikołaja Cudotwórcy i szereg innych. Co za przewrotna ironia, której Głaz nie raz hołdował – w komunistycznym, totalitarnym kraju, pełnym przedziwnych „zombies” żyjących tam do dzisiaj i gustujących w zapomnieniu i oszołomieniu wódczanego „złego ducha”, doznał duchowego i artystycznego olśnienia, będącego w kosmicznej niemal odległości od wywyższonej i wytrwale kaleczonej materii.

Sensyblizm już wtedy mocno w nim kiełkował. Wiele lat później, kiedy owa teoria się upowszechniła, a jego elementy w dalszym ciągu były nader tajemnicze, powiedział: „Sensybilizm, ze względu na nazwę, też wydawał się powstać za granicą, mimo, że tak naprawdę pochodził z górniczego Wałbrzycha, gdzie przez parę lat mieszkałem”. I dodawał „Próbowałem wyjaśnić, jako twórca tego kierunku, wartość i znaczenie tego słowa – czyli pierwszego polskiego kierunku artystycznego, który bez zakazów i nakazów co malować i jak malować, odwoływał się jedynie do inteligencji twórców”.

Wyjaśnianie – to był zachwycający, przemiły i nadzwyczaj cierpliwy odruch Głaza, esencja jego charakteru. Potrafił na swoich wystawach, widząc zakłopotanie ludzi i problem z rozgryzieniem esencji jego dzieł, podejść do takiej osoby, nawiązać rozmowę i wytłumaczyć owe jakby nieodcyfrowalne

elementy. Pamiętam ludzi, którzy po takim mini wykładzie rozjaśniali się wewnątrz, mieli wrażenie, że nie tylko doznali olśnienia, ale że artysta, twórca, poświęcił im parę minut, właśnie im, by objaśnić zawiłe arkania sztuki.

Lecz Kazio był także figlarzem. Kiedyś na jednej z wystaw zbiorowych polskich twórców z Toronto, postanowił pomóc jakiejś pani, która stała przed obrazem w niemym zdumieniu i pomieszaniu. Nawiązał z nią rozmowę, wyłuszczył zasady sztuki i odsłonił w dość rozległym i dogłębnym wyjaśnieniu wnętrza owego obrazu. Na koniec zapytał ją, czy już teraz rozumie, na co kobieta zareagowała wręcz entuzjastycznie. Pożegnaliśmy się z nią odchodząc na bok. Po paru minutach zauważyliśmy, że stoi z paroma osobami przed kolejnym obrazem i o czymś tam zawzięcie peroruje. „Panie Krzysztofie” – rzekł nader dostojnym tonem Głaz – „niech pan po cichu tam podejdzie. Bo usłyszy pan to co ja jej przed chwilą mówiłem i co naprędce wymyśliłem”. I tak było.



Kazimierz Głaz Toronto 2017 Canada

SENSYBILISM

KAZIMIERZ

Kiedyś odwiedziłem go w pracowni-domu na Roncesvalles i spędziłem tam cztery godziny, wodzony przez Głaza po zakamarkach jego sztuki. Był człowiekiem, który uświadomił mi i pokazał, ile jest rodzajów czerni. Moje płaskie widzenie czerni zmieniło się diametralnie. Dowiedziałem się także, że zbiera stare drzwi z ulicy, bo w swych zdobieniach (prostokąty lub kwadraty) miały już formy geometryczne. Zagruntowywał je i potem na nich malował.

Tu przepyszna anegdota. Ponieważ Głaz nigdy w życiu nie

pracował na stały etat i był panem swego czasu, stale zabiegał o różne dotacje, stypendia i tym podobne synekury. Kiedyś dowiedział się, że leżąca w sąsiedztwie parafia polska św. Kazimierza chce ufundować stypendium polskiemu twórcy. Pan Kazimierz złożył podanie i czekał. Stypendium nie dostał i potem dowiedział się, że jakaś gorliwa parafianka zaproponowała, twierdząc, że ten pan nic nie robi tylko stale siedzi w oknie i wszyscy to widzą, gdy przechodzą koło jego domu na ulicy Roncesvalles. Tak, rzeczywiście często można było zobaczyć profil Głaza w narożnym, wykuszowym oknie na piętrze. Siedział tam czekając aż podeschnie zagruntowanie kolejnego obrazu lub nabierał sił do następnego etapu malowania.

Jedną część jego, jakże bogatego życiorysu, była mi nieznana. W zamieszczonym w Internecie pożegnaniu go przez Muzeum Narodowe we Wrocławiu, znalazłem informację, że był także filantropem. I trafne podsumowanie jego wspaniałej sztuki: „Dążył do syntezy formy, próbował dotrzeć do istoty rzeczy na drodze poznania, odrzucając wszystko co zbędne. Jego kontemplacyjne, pulsujące zanurzone w świetle kolorem kompozycje (obrazy, grafiki) emanują niezwykłą atmosferą tajemnicy i spokoju”.

Jeśli w ostatnich latach życia Głaz cierpiał, bo na przykład nie mógł już latać samolotem do swego ukochanego Krakowa i posiedzieć na Rynku z przyjaciółmi lub nawiązać – a czynił to

niezwykle łatwo – nowych znajomości, często z młodymi ludźmi; jeśli dokuczała mu starość i trapiące go choroby, w tym takie, które uniemożliwiły mu malowanie, to zyskał ten, jakże potrzebny i kojący, spokój.

Atmosfera tajemnicy pozostała, bo lepszego, w pełni sensorylistycznego zdarzenia, nikt by nie wymyślił. Minięcie się Głaza w kosmicznej przestrzeni z powracającą triumfalnie kosmiczną sondą, która przywiozła na Ziemię cząstkę tajemnicy powstawania Wszechświata. Wciąż otwartego na nasze zgłębianie, a także interpretacje.

Kopiowanie fotografii bez zgody redakcji zabronione.

Zobacz też:

Wystawa prac Kazimierza Głaza w Muzeum Uniwersyteckim
w Toruniu

Kazimierz Głaz. Gwasze.

Święty Mikołaj - Cudotworec

Paryż, Luksemburg i nagroda Marca Chagalla

Prawo sensorybilizmu

„To potężne dzieło sztuki” - powód malowanych gratulacji.

Przestrzeń Muzealna Witolda Gombrowicza w Vence
we Francji

Sensybilizm. Sens i non-sens.

Anioł Stróż. Opowiadanie sensybilistyczne.

Schody Hiszpańskie. Opowiadanie sensybilistyczne.

W poszukiwaniu piękna. Kazimierz Głaz.

„Polacy nie gęsi
i swój język mają” –

Jerzy Korey- Krzeczowski (2)

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)

Wspomnienia Jerzego Korey-Krzeczowskiego, w dwóch częściach – do wyjazdu na emigrację do Kanady (1951 r.) i do 2003 r., są wynikiem wielu godzin spędzonych na rozmowach, spisanych, autoryzowanych i pierwotnie opublikowanych w „Liście oceanicznym” w Toronto (nr 10, październik 2003 i nr 11, listopad 2003).

✱



Jerzy Korey-Krzeczowski, Toronto 2001 r.

Wspomnienia z czasów emigracji do 2003 r. – Kanada

*

Trudne początki

Latem 1951 roku, przyjechaliśmy do Halifaxu. Bardzo szybko odbyła się odprawa celna, wszystkie nasze rzeczy zostały nadane na pociąg do Montrealu. Dlaczego zdecydowaliśmy osiedlić się w

Montrealu? Między innymi dlatego, że znaleźliśmy dodatkowo język francuski. Zawsze jest łatwiej, gdy się zna dwa języki.

W Montrealu, na stacji kolejowej czekał na nas kolega, Domokos Gyallay-Pap, który był na placówce w Bukareszcie w ambasadzie węgierskiej, w tym samym czasie, co ja. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy i cały czas byliśmy w kontakcie. Osiedlił się w Montrealu cztery miesiące przed nami. Powitał nas na stacji i zabrał do małego mieszkanca, które nam wcześniej wynajął. Wieczorem poszliśmy na kolację. Tak więc pierwsze nasze doświadczenie kanadyjskie to *barbeque chicken* i lody. Byliśmy mu wdzięczni, że się nami zajął i że znalazł nam mieszkanie.

Po paru dniach zacząłem szukać pracy. Ale w tym okresie nie było łatwo znaleźć pracę, ze względu na ogromny napływ emigrantów. Kanada to sezonowy kraj, o dużym bezrobociu, zwłaszcza jesienią. Zdecydowałem się więc na niezwykle zajęcie. Niezwykle w stosunku do tego, co dotychczas robiłem.

Poszedłem do dyrektora personalnego firmy Eaton i poprosiłem, żeby mnie przyjął do pracy. Dyrektor był bardzo kulturalnym człowiekiem, długo ze mną rozmawiał i się mną zainteresował. – Tylko, że – mówi – nic pan nie wie na temat sprzedaży, przecież pan nie sprzedawał. Ja całe życie sprzedawałem – odpowiedziałem – sprzedawałem siebie. Poza tym jest dziedzina, w której jestem bardzo dobrze zorientowany i nikt z pańskich ekspertów mi nie dorówna. Jest to znajomość wschodnich

dywanów. - Hmm - zastanowił się dyrektor - wprawdzie mamy dział dywanów, ale mało ich sprzedajemy. - Niech więc mi pan pozwoli dodatkowo sprzedawać linoleum. - Ok - zgodził się dyrektor - to jest ten sam dział. Zatrudnię pana. Pańska pensja będzie wynosić 42 dolary na tydzień. A ja na to - ponieważ mówię kilkoma językami, mogę obsługiwać grupę nowych emigrantów i to różnych narodowości. Myślę więc, że będę dobrze sprzedawał. Wobec tego prosiłbym pana, o 2% od sprzedaży. Dyrektor zgodził się, choć nie wierzył, że to będzie chodliwy towar. A ja tyle sprzedawałem, że sam procent był większy niż moja pensja, ponad 40\$ na tydzień. Radziłem więc sobie doskonale. Stan ten trwał do Bożego Narodzenia. W okresie świątecznym dyrekcja zwolniła wszystkich emigrantów, bo już nie było co sprzedawać. Ja też zostałem zwolniony. Musiałem znów szukać pracy.

Poszedłem do biura miejskiego, gdzie kierowali ludzi do prac porządkowych. Mówię im, że się zgłaszam do odśnieżania ulic. A oni na to - panie my tu mamy całą Europę i już pana nie potrzebujemy. Sami Europejczycy odśnieżali miasto. Wobec tego zacząłem wertować gazety i znalazłem ogłoszenie, że firma lotnicza Canadair Ltd. szuka ekonomisty. Szybko się tam zgłosiłem, zdałem wszystkie potrzebne testy i zostałem przyjęty jako szef sekcji z pensją 120\$ na tydzień. Miałem też prawo zaangażować 30-tu Europejczyków. Przyjąłem więc do pracy w mojej sekcji wielu Polaków, m.in. z Londynu, którzy skończyli

tam studia, znali język, a wśród nich kilku dawnych oficerów. W Canadair Ltd. pracowałem chyba przez 2 lata i bardzo dobrze zarabiałem, ale mimo to zdecydowałem, że przejdę do *management consulting*.

Po szczeblach managementu

Zgłosiłem się do znanej w Montrealu firmy Leetham Simpson Management Consultants. przeprowadzili ze mną *interview* i zorientowali się, że znam kilka języków. Było to dla nich dużą zaletą, bo chcieli mieć swoje filie na całym świecie, również w Europie, dlatego cenny był pracownik z biegłą znajomością niemieckiego i francuskiego. Wobec tego zaangażowali mnie. Moja początkowa pensja wynosiła 10 tys. dolarów rocznie. Szybko się uczyłem zarządzania, dużo wyjeżdżałem i pracowałem w różnych krajach.

W niedługim czasie wielka amerykańska firma Werner Management Consultants zaproponowała Leetham Simpson, żeby grupa z mojego działu wraz ze mną pojechała do pracy w Brazylii. Mielśmy pracować na kontrakcie dla bardzo bogatego hrabiego Matarazzo, kontrolującego 102 największe firmy świata, znajdujące się m.in. w południowej Ameryce. Firma Werner podpisała z nim specjalną umowę, która mówiła, że jeśli nie zaoszczędzimy mu 1 mln dolarów rocznie, nie musi nam nic zapłacić za pracę. Oczywiście byliśmy pewni, że zaoszczędzimy

mu więcej. I rzeczywiście, w każdym roku oszczędzaliśmy ok. 2-3 mln dolarów. Ten człowiek nie wiedział jak koło nas chodzić i zatrudnił nas (12 osób) w swoich firmach. Znając się na zarządzaniu, przynosiliśmy mu ogromne zyski. Tak więc dobrze sobie radziłem za granicą.



Od lewej: Jerzy Koreya-Krzeczowski z żoną Ireną, R. T. Hon i John N. Turner, późniejszy premier Kanady, 1966 r., fot. arch. J. Koreya-Krzeczowskiego

Byłem też doradcą w fabryce plastików w Rio de Janeiro. O plastikach nic nie wiedziałem, umiałem natomiast tak zorganizować firmę, żeby przynosiła zysk. Właściciel tej fabryki zaproponował mi, abym wytrenował jego syna. Chciał, by syn w

przyszłości mógł po nim zostać prezydentem. Zacząłem więc go uczyć. Nauka jednak wymagała stałej obecności w Brazylii, wobec tego właściciel zaproponował mi 5 letni kontrakt. Miałbym zarządzać jego firmami i uczyć jednocześnie syna. A jaką mi zaoferował płacę? 100 tys. dolarów rocznie, płatne w Szwajcarii, *tax free*. Powiedziałem żonie o tej propozycji, a żona na to - Nie możemy pojechać na 5 lat do Brazylii, bo nasz syn kończy gimnazjum w Kanadzie, potem pójdzie na Uniwersytet, to nie jest czas, żebyśmy go zostawili samego. Więc z bólem serca - odmówiłem. A ten właściciel na to - Skoro pan mi odmawia, to może znajdzie pan kogoś w Ameryce, kto kupiłby moją firmę. Długo myślałem i znalazłem wielką amerykańską firmę, zainteresowaną w nabywaniu firm zagranicznych. Brazylija wyglądała dla nich atrakcyjnie. Spotkałem się z prezydentem tej firmy i powiedziałem mu o transakcji, że jest taka możliwość, że mógłby ją przejąć stosunkowo łatwo i za niewielkie pieniądze. Po zapoznaniu się ze sprawą prezydent mówi - jutro lecimy do Brazylii. Zabrał mnie swoim samolotem i poleciliśmy. Przejął tę firmę tego samego dnia.

Po jakimś czasie jedna z wielkich firm farmakologicznych z New Jersey, Carter - Wallace Inc. zaproponowała mi stanowisko *management director*. Powiedziałem jednak, że mogę być jedynie konsultantem, a będę mieszkał w Toronto. - Niech pan przylatuje do nas co tydzień samolotem, będzie pan od poniedziałku do piątku u nas, a w sobotę i niedzielę z rodziną - odpowiedzieli mi

na to. Miałem więc taki okres, że przylatywałem samolotem lądującym w centrum miasta i jechałem do firmy. Przynosiłem im zyski, więc mnie rekomendowali. Stałem się znany w tej dziedzinie.

W stronę nauki

W latach 1968-69, w Montrealu miały miejsce różne rozruchy i zamachy, (np. wysadzano w powietrze skrzynki pocztowe). Zamachy organizowali francuscy nacjonaliści, którzy chcieli oderwać Quebec od Kanady. W tym okresie wielu mieszkańców Montrealu decydowało się przenieść do Toronto. Powiedziałem do żony, że przeniosę się tylko wtedy, jeśli znajdę odpowiednie stanowisko. Zacząłem się więc rozglądać za pracą. Trafiłem na ogłoszenie, że Ryerson Politechnic poszukuje osoby na stanowisko Dean of Business. Wypełniłem papiery i wysłałem. Minęło parę miesięcy, zanim dostałem odpowiedź - Szanowny Panie otrzymaliśmy 202 podania. Jest pan w grupie 10 osób, których wytypowaliśmy jako poważnych kandydatów i wobec tego zapraszamy pana na cały dzień, na rozmowy z prezydentem i profesorami. Przyjechałem do Toronto i byłem na uczelni cały dzień, od rana do nocy. Czułem, że wyraźnie wygrywam. Dużym atutem było moje doświadczenie w *management consultants*, gdyż szkoła była bardzo zadłużona i trzeba było ją rozwinąć. Pomyślałem więc w duchu, że jestem dla nich dobrym kandydatem. Nie dali mi jednak od razu odpowiedzi. - Musimy

jeszcze porozmawiać z innymi kandydatami i zawiadomimy pana - powiedzieli.

Wróciłem do Montrealu, a tam za 2-3 dni przyszedł list, że Narody Zjednoczone poszukują doradcy ekonomicznego dla szacha Persji na 5-cio letni kontrakt. *Duty i tax free*. Pomyślałem, że koniecznie muszę pojechać na tę rozmowę. Zadzwoiłem i na następny tydzień, w poniedziałek miałem się tam zgłosić. Pojechałem rano samolotem. Rozmawiam z dyrektorem personalnym, on mi opowiada jakie są szanse i możliwości, że się mną poważnie interesuje, że jestem jednym z tych nielicznych, którzy władają kilkoma językami i którzy mają tego rodzaju doświadczenie itd. W tym momencie jest telefon. Ktoś mówi, że muszę natychmiast przerwać rozmowę i odebrać ten telefon. Podejmuję rozmowę, dzwoni prezydent Ryerson i mówi - Wytypowaliśmy pana, jest pan naszym kandydatem, a ponieważ zarabia pan dużo więcej, niż my możemy panu dać jako Dean of Business, to proponujemy panu jednocześnie stanowisko executive vice President. Będzie pan miał dwie posady, dwa biura, dwie sekretarki i odpowiednio dużą pensję. Rozmawiałem z pańską żoną - mówi dalej prezydent Ryerson - ona mi powiedziała, że pan właśnie rozmawia w sprawie pracy, więc poprosiłem ją żeby tę rozmowę przerwać. Mam nadzieję, że nie podpisał pan jeszcze kontraktu. A ja na to - Nie, jeszcze nie, ale jestem blisko. - Niech Pan tego nie robi, dostaje pan fantastyczne warunki.

Wróciłem do domu, zrezygnowałem z kontraktu u szacha Persji. Syn już wtedy skończył studia w Montrealu i studiował na uniwersytecie w Western Ontario. Był usamodzielniony, miał zamiar się ożenić. A ja zdecydowałem się przenieść do Toronto. I nie żałowałem. W Ryerson miałem bardzo ciekawą pracę i bardzo ją lubiłem. Miałem wtedy świetną pamięć. Zapamiętałem imiona wszystkich profesorów z mojego wydziału. Mogłem nazwisk nie pamiętać, ale do każdego z ok. 500 osób mówiłem po imieniu – Hi John, hi Helen itd. Byli zadziwieni, że pamiętam ich imiona.

Canadian School of Management

Szkoła była moim wielkim sukcesem. Początkowo chciałem stworzyć na Ryerson studia na odległość. Nie było to jednak możliwe, gdyż Politechnika nie miała odpowiedniej kadry profesorskiej, która mogłaby uczyć ludzi z wieloletnim doświadczeniem zawodowym. Dlatego założyłem samodzielną szkołę wyższą. W krótkim czasie z 50 studentów, miałem 100-u, 150-u i 200-u. Szybko się rozwijała i dawała wykształcenie tym ludziom, którzy nie mogliby sobie pozwolić na przerwanie pracy. Kursy na odległość były dla nich dużym udogodnieniem. Moi studenci dobrze zarabiali, ale potrzebowali uzyskać stopień zawodowy. Dotyczyło to głównie szpitalnictwa. Przeprowadziłem badania na ten temat i okazało się, że w administracji szpitalnej tylko 5-6% ludzi miało wykształcenie MBA. Zacząłem więc kształcić zawodowych administratorów szpitalnictwa, ludzi,

którzy teraz zarabiają po 300 tys. będąc managerami największych szpitali w Kanadzie. Poza tym w szkole studiowało dużo ludzi z innych działów administracji, którzy potrzebowali podwyższyć swoje kwalifikacje. Mają teraz wysokie stanowiska. Wykształciłem kilku członków parlamentu, kilku wiceministrów. Wydaje mi się, że to było dobre posunięcie, nie było wówczas takiej szkoły. Skoro jestem naśladowany, to jest to największe uznanie.

Po 20 latach istnienia szkoły, Canadian School of Management przejęli Brytyjczycy, z którymi od dawna współpracowałem. Do dziś jestem kanclerzem szkoły, ale ograniczyłem już odpowiedzialność i uczestnictwo w różnych uroczystościach. Poza tym założyłem szkołę, z programem MBA w Pakistanie, potem w Indiach. Z Pakistanem przez ostatnie dwa lata nie utrzymuję kontaktu, żeby ich nie narażać z powodu sytuacji politycznej. Powodem tym są też różnego rodzaju rozgrywki między Indiami i Pakistanem.

Mam w tej chwili 4000 absolwentów w Kanadzie we wszystkich dziedzinach i 2800 w Indiach. Jestem dumny z tego osiągnięcia. Po 28 latach mogę powiedzieć, że jest to pewien wkład, który mogłem dać Kanadzie, krajowi, który przyjął emigranta. To jest ważne.



Jerzy Korey-Krzeczowski z żoną i papieżem Janem Pawłem II, fot. arch. J. Koreya-Krzeczowskiego

Multikulturalizm

Należałem do wielu organizacji, trudno mi wszystkie wymienić. Byłem m.in. Przewodniczącym Rady Wielokulturowości przy rządzie Prowincji Ontario. Miałem biuro w biurach parlamentu, trzy osoby do prac biurowych, sekretarkę.

Co miesiąc byliśmy w innym mieście Ontario i spotykaliśmy się ze wszystkimi grupami etnicznymi, żeby wysłuchać ich problemów. Potem składaliśmy propozycje do rządu. W okresie czterech lat złożyliśmy ponad 100 propozycji, z czego 95 zostało zaakceptowane. Jedną z takich propozycji było zatrudnienie tłumaczy w szpitalach, aby pomagać ludziom nie mówiącym po

angielsku. Inna propozycja to przyznawanie grantów dla szkół etnicznych. Wcześniej za szkoły trzeba było samemu płacić. Jednym z naszych pomysłów był też sposób finansowania kultur etnicznych - z części dochodów, jakie przynoszą gry hazardowe. Stany Zjednoczone są monolitem, wszyscy mają być amerykańscy. W Kanadzie przekonaliśmy rząd, że grupy etniczne chcą zachować swoją tożsamość i przekazać dziedzictwo swoim dzieciom, a jednocześnie chcą być obywatelami Kanady. I to się nie wyklucza. Najpierw tę koncepcję zaakceptował rząd Ontario, a potem wszystkie inne rządy.

Teraz

Od czasu, gdy przekazałem Canadian School of Management, mam więcej czasu na pracę. Od czasu do czasu piszę wiersze. Wiersze najczęściej piszę po polsku, aczkolwiek czasem zdarza mi się napisać po angielsku. Poezja, jakoś bliższa jest mi po polsku, gdy np. na studiach ekonomicznych pisałem z reguły po angielsku, czasem po francusku lub niemiecku.

Pracuję nad różnymi zagadnieniami, które mnie interesują, chciałbym napisać jeszcze coś po angielsku. Miałem niezwykle ciekawe życie, myślę, że warto je udokumentować, zapisać i nikt tego tak nie zrobi jak ja sam. Mój syn jest bardzo dumny i pyta się od czasu do czasu - co nowego napisałeś? Chciałby, żebym zostawił po sobie jak najwięcej, żeby on mógł przekazać to

swoim dzieciom.

Z synem zawsze rozmawiam po polsku, to jest taka niepisana umowa, lecz jeśli chce się lepiej wysławić, to mu pozwalam powiedzieć jakąś myśl po angielsku. On dobrze mówi po polsku, muszę powiedzieć, że jestem z tego zadowolony. Cieszę się, że chodził do sobotniej szkoły i uczył się trochę historii Polski i języka. Jego matka wymagała, żeby w domu mówił po polsku i dzięki temu utrzymywaliśmy ten język. To bardzo uzdolniony chłopak. Kiedy studiował na Uniwersytecie w Anglii, w Manchester, miał do zaliczenia dwuletni program. W lipcu przysłał telegram, że niedługo przyjedzie. Myślałem, że przyjedzie na wakacje, a on zaliczył dwa lata w jeden rok. Teraz jest wiceprezydentem firmy farmakologicznej, w której kieruje międzynarodowymi badaniami naukowymi, dotyczącymi leczenia raka. Mieszka w Palo Alto, w Kalifornii. Jestem bardzo z niego dumny i szczęśliwy, że mam takiego syna.

Co jeszcze chciałbym o sobie powiedzieć?

Miałem niezwykle małżeństwo. W tym roku minęło nam 59 lat małżeństwa, a znamy się 65 lat. – To całe życie, całe dorosłe życie. Jakie mam marzenia? Chciałbym, żeby pewnego dnia moja żona odzyskała głos i zaczęła mówić. To takie marzenie, jedno z największych marzeń w tej chwili w moim życiu. Żeby odzyskała głos i podzieliła się tym, co przeżywa. *(Żona Irena przebywała*

wówczas w ośrodku dla przewlekle chorych, po udarze mózgu była sparaliżowana i nie było z nią kontaktu, przyp. J.S-G.).

*

Część 1:

„Polacy nie gęsi i swój język mają” – Jerzy Korey-Krzeczowski
(1)

Jerzy Korey-Krzeczowski (1921-2007), ekonomista, dyplomata, publicysta, poeta.

Urodzony w Kielcach, w okresie II wojny świat. żołnierz Organizacji Bojowej Tajnej Armii Polskiej oraz Związku Walki Zbrojnej/Armii Krajowej, podpułkownik rezerwy WP. Studia prawnicze na UJ w Krakowie (1940-44), doktorat na Uniwersytecie we Freiburgu (1948-49), doktorat na Uniwersytecie w Tybindze (1950), studia podyplomowe na Uniwersytecie Harwarda (1975). Naczelnik Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Kielcach (1945-46), attache kulturalny Ambasady Polskiej i konsul w Bukareszcie (1946-47), konsul w Berlinie 1948, w Baden-Baden (1948-51).

W latach 1951-71 doradca ekonomiczny i przemysłowy 13 rządów i 200 wielkich korporacji – wiceprezydent Leetham Simpson Management Consultans w Montrealu i dyrektor Werner Management Consultants Canada Inc. Montreal i Nowy Jork. Prof. (dziekan i wiceprezydent 1971-76, wicerektor 1973, prezydent i rektor 1974-75) Ryerson Politechnic University. Prof., założyciel i prezydent Canadian School of Management i Northland Open University (1976), oraz uniwersytetów w Puno (Indie) i Lahore (Pakistan), prof. Union Graduate School w Cincinnati (1976) i członek rady dyrektorów od 1976 r.

Przewodniczący Rady Wielokulturowości przy Rządzie Prowincji Ontario (1976-80), członek Komitetu

Doradczego ds Konstytucji Kanadyjskiej (1982). prezydent Światowej rady Uniwersytetów bez Scian (1980) itd.

Wiceprezes i prezes Kongresu Polonii Kanadyjskiej w Montrealu (1960-67), przewodniczący Rady Głównej Kongresu Polonii Kanadyjskiej w Toronto (1967-69), członek Światowej Rady Polonii i Północnoamerykańskiego Studium Spraw Polonii (1978-81), współorganizator i przewodniczący Światowego Zjazdu Polonii w Toronto (1978).

Człowiek Roku 1981, wybrany przez Ethnic Press Council of Canada.

Członek Rady Najwyższej Zakonu i Wielki Mistrz Orderu Św. Jana Jerozolimskiego z siedzibą na Malcie (odłam Zakonu Kawalerów Maltańskich) itd.

Tomiki poezji:

„Siedemnasta Wiosna” Kielce 1938, „Gołoborze” Kielce 1938, rytm serca 1939, „Liryki nostalgiczne” Nowy Jork 1972, „Lunch w Sodomie” Nowy Jork 1976, „Korey’s Stubborn Thougths” Toronto 1980, „Tree of Life” Toronto 1982, „Wszędzie i nigdzie” Paryż 1989, „Natrętne myśli” Toronto 1994, „Wiatry życia” Kielce 1995, „Dojrzała pogoda” Kielce 1995, trzynasty tom Kielce 2002.

„Polacy nie gęsi
i swój język mają” –

Jerzy Korey- Krzeczowski (1)



Jerzy Korey-Krzeczowski (1921-2007) w swoim domu w Toronto, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka (Austin, Teksas)

Jerzego Korey-Krzeczowskiego poznałam krótko po przyjeździe na emigrację do Toronto, w 2001 r. Pracowałam wówczas w „Gazecie”, największym dzienniku Polonii w Kanadzie. Jerzy Korey przyszedł do mnie do redakcji, mieszczącej się w polskiej dzielnicy, przy ul. Roncesvalles. Wydał mi się ciekawym człowiekiem, który wiele przeżył. Umówiłam się z nim na rozmowę. I tak się zaprzyjaźniliśmy. Gdy w 2003 roku zaczęłam redagować „List oceaniczny” – comiesięczny dodatek kulturalny „Gazety” – spotykaliśmy się regularnie, raz w tygodniu. Jerzy Korey chciał, żebym spisała jego wspomnienia. Opowiadał mi o dzieciństwie, młodości, wojnie, emigracji i wielu ciekawych osobach, które spotkał w życiu. Używał przydomka „Korey” – jak mi powiedział – była to zbitka słów Korczak i Rey. Korczak – bo takim herbem pieczętowała się rodzina Krzeczowskich, a Rey, od kultu Mikołaja Reya – poprzedniego patrona Gimnazjum w Kielcach, które kończył Jerzy Krzeczowski. Mottem stało się dla Jerzego Korey-Krzeczowskiego stwierdzenie poety, że „Polacy nie gęsi i swój język mają”.

Wspomnienia Jerzego Korey-Krzeczowskiego, w dwóch częściach – do 1951 roku, czyli do wyjazdu na emigrację do Kanady i od 1951 roku, do 2003 r., są wynikiem wielu godzin spędzonych na rozmowach, spisanych, autoryzowanych i pierwotnie opublikowanych w „Liście oceanicznym” w Toronto (*nr 10, październik 2003 i nr 11, listopad 2003*).

*

Wspomnienia do 1951 roku – Polska, Rumunia, Niemcy

*

Życie jest ciekawe. Moje było bardzo ciekawe. Zawsze uważałem, że przez życie należy iść przebojem. Cała moja filozofia życiowa opierała się na tym, że muszę iść naprzód, i naprzód, i pokonać wszystkie przeszkody. Jeżeli nie mogę normalnie przejść przez bramę, to muszę przejść naokoło. Ale przejdę. I to było moje życiowe credo.

Rodzina, rodzice, dzieciństwo



Ojciec Antoni Marian Krzeczowski



Matka Zofia Emilia Wanda z Chmielewskich

Urodziłem się 13 lipca 1921 roku jako syn Antoniego Mariana i Zofii Emilii Wandy z Chmielewskich. Moi rodzice mieszkali w Kielcach, ojciec był sekretarzem prokuratury Urzędu Wojewódzkiego. Rodzice poznali się przed wojną, a zaręczyli się w 1914 roku przed samym wyjazdem ojca, który został zmobilizowany, a cały sąd ewakuowany. Ponieważ ojciec skończył Gimnazjum z rosyjskim językiem wykładowym i wspaniale mówił po rosyjsku to go od razu zatrudniono i wkrótce wywieziono do Kijowa. Przebywał tam w randze kapitana rosyjskiej armii i zajmował się aprowizacją. Potem wybuchła rewolucja, ojciec szybko zrzucił rosyjski mundur, poszedł do polskiego komitetu obywatelskiego w Kijowie i został ewakuowany do Polski. Zanim jednak wrócił, trwało to parę ładnych miesięcy. Po powrocie ojca z Kijowa, rodzice zdecydowali, że się pobiorą. Ślub odbył się w Kielcach, 3 lipca 1920 roku. W następnym roku ja przyszedłem na świat. Wychowywała mnie mama, która zajmowała się domem, gdy

ojciec pracował. Nie mieliśmy już żadnych majątków, byliśmy biedni jak mysz kościelna. Majątki były skonfiskowane po powstaniu styczniowym. Ojciec był sędzią i żył z pensji sędziowskiej. Z dawnych czasów nic nie zostało, wszystko co było, to w dawnych wiekach.

Rodzice byli bardzo tradycyjni, mieliśmy więc bliski kontakt z innymi członkami rodziny. Siostra mojej matki, Maria Szulcowa, została moją mamą chrzestną. Jej mąż był inżynierem geometrą i przeprowadzał pomiary wszystkich majątków w województwie kieleckim. Wspominam o tym, bo potem, gdy musiałem uciekać z Kielc, jego kontakty okazały się niezwykle przydatne, gdyż wszystkich znał i wiedział, gdzie mnie może ulokować.

Pamiętam, gdy miałem ok. 3 lat, moja ciotka, Maria Szulcowa, zabrała mnie na przejażdżkę wielkim, wspaniałym wozem. Wujostwo byli dość zamożni, więc mieli szofera. Byłem bardzo podekscytowany przejażdżką. Przez siedem lat wychowywałem się jako jedynak, potem przyszła na świat moja siostra, Zosia. Mama ścięła wtedy swoje piękne, bardzo długie włosy.

Szkoła



„Młodzi idą” okładka pisma Gimnazjum w Kielcach.

Skończyłem gimnazjum im Stefana Żeromskiego w Kielcach. Kiedyś szkoła nosiła imię Mikołaja Reja, ale już za moich czasów nazwa została zmieniona. Tradycje Żeromskiego były szkole bliskie i wciąż żywe, gdyż był on kiedyś jej uczniem. Mówiliśmy o nim „starszy kolega”. Nawet na jednej z ławek szkolnych widniało jego nazwisko. Wszystko o nim wiedzieliśmy, czytaliśmy jego książki. Szkoła miała humanistyczny kierunek, a siedmiu z moich kolegów zostało pisarzami. Moim bliskim kolegą był Wiesiek Jazdzyński, który potem wykładał przez pewien czas w szkole dziennikarskiej, a mieszkał w Łodzi. Jedna z jego książek jest o naszej klasie. Korespondowałem z nim od 1990 roku, bo przedtem nie chciałem go narażać na kontakty z taką osobą jak ja. Innymi kolegami, także z mojej klasy, byli Józef Ozga

Michalski, znany polityk, Marian Przeździecki, pisarz poeta, Marian Sołtysiak, sławny dowódca drużyny wybranieckiej, działający w podziemiu. Starszym o rok kolegą był pisarz, Gustaw Herling-Grudziński, który wprowadził mnie do redakcji pisma szkolnego „Młodzi idą” i dawał mi pierwsze wskazówki literackie. Przez trzy ostatnie lata pobytu w gimnazjum byłem redaktorem naczelnym tego pisma. Pobyt w szkole był bardzo ciekawy, a od kiedy Wiesław Jażdżyński napisał książkę o naszych szkolnych latach, często wracam do tego okresu oraz wyjątkowych i niezwykłych ludzi.

Wojna

Potem przyszła wojna. Cóż więc mówić o wojnie?

Już na początku zacząłem działać w Organizacji Bojowej, Tajnej Armii Polskiej. Zajmowaliśmy się dywersją. Robiliśmy zamieszanie wśród Niemców, a mieliśmy do nich dobre dojście, bo nasz profesor germanista był tłumaczem u niemieckich władz i przekazywał nam różne informacje. Dzięki temu mogliśmy szczegółowo opracować zamachy. Wysadziliśmy kilka mostów oraz wiele pociągów, głównie transporty wojskowe, które szły na front i wytłukliśmy sporo Niemców. Wkrótce zostałem mianowany podporucznikiem, a za rok porucznikiem. Wojnę zakończyłem w randze kapitana. Pamiętam, że w 1941 roku byliśmy z żoną na Sitkówce, jakieś parę km od Kielc. Jest to

ładnie położona miejscowość letniskowa, a my mieliśmy tam działkę. Byliśmy z moimi rodzicami na skraju lasu, gdy zobaczyliśmy przelatujące, niemieckie samoloty. Zorientowaliśmy się, że szykuje się wojna z Rosją. To było 21 czerwca, jeśli się nie mylę.



Jerzy Krzeczowski w Kotlicach, 1944 r.

Niedaleko, w dominium Kotlice, gdzie mieszkałem po ucieczce z Kielc, były rozległe tereny trawy nasiennej. Tereny te zamieniliśmy na lotnisko. Nazywały się Tarnina 1 i Tarnina 2. Lądowały tam samoloty z Anglii, przywożące do Polski różnych ludzi. Spali oni potem w moim pokoju, a na drugi dzień jechali do Warszawy. Na lotnisko zrzucono też broń dla AK. Bardzo dużo było tych zrzutów, bo w kieleckiem działała dobrze zorganizowana partyzantka. Znajomi koledzy z partyzantki u nas się zaopatrywali. W majątku była gorzelnia, mieliśmy 96-procentowy spirytus. Niemcy zabierali produkcję, więc

dzieliliśmy się z partyzantami, zanim Niemcy ją zabiorą. Spirytus się sprzedawało i w ten sposób zarabialiśmy.

Kiedy Rosjanie weszli do Kotlic, zobaczyli, że jest tam gorzelnia, rozlali spirytus i bardzo szybko wszyscy byli pijani. Postaraliśmy się, żeby dostać na kwaterę sowieckiego pułkownika. On się zgodził, postawił wartę i dzięki temu przeżyliśmy. Cała wieś była grabiona, kobiety gwałcone. Następnego dnia znalazłem rosyjskiego „kamandira”, który miał samochód. Zgodził się zawieźć nas do Kielc za 2 litry spirytusu i papierosy.

W czasie wojny jeździłem na tajne komplety na Uniwersytet Jagielloński, na którym studiowałem prawo. Studiował tam też wówczas sztuki teatralne przyszły papież, Karol Wojtyła. Jeden z profesorów ciężko chory leżał w łóżku i egzaminował nas z łóżka. Dyplomu nie dostałem, przecież uczelnia była tajna. Wydano mi zaświadczenie po polsku, że zwróciłem wszystkie książki i ... (w nawiasie) – zdałem wszystkie egzaminy, podpisane przez Małeckiego, który był wtedy rektorem tajnego uniwersytetu polskiego.

Po wojnie

Zaraz po wojnie Józef Ozga Michalski z mojej klasy został przewodniczącym Wojewódzkiej Rady Narodowej przy Urzędzie Wojewódzkim w Kielcach. Poszedłem wtedy do niego i mówię –

Józek, trzeba ratować skarby w polskich majątkach, bo wszystko się zniszczy. Rosjanie już strzelali do obrazów. Ja mogę się tym zająć w Urzędzie Wojewódzkim, a jeśli nie, znajdziemy jakieś miejsce. A on na to – akurat potrzebujemy Inspektora Wojewódzkiego do działu kultury i sztuki. Dał mi list polecający do majora Wiślicza, który był wtedy wojewodą kieleckim. Dzięki rekomendacji Ozgi Michalskiego, zostałem mianowany inspektorem ds. kultury. Jeździliśmy po okolicznych majątkach i zwoziliśmy wszystko, co było można. Te uratowane skarby stanowią obecnie zbiory Muzeum Narodowego, oddział w Kielcach. Zwieźliśmy między innymi księgozbiór należący do księcia Krzysztofa Radziwiła, który mieszkał przed wojną w województwie kieleckim – ok. 60 tys. książek. Zbiory jeszcze nie zostały skatalogowane, kiedy zadzwonił szef gabinetu ministra kultury i sztuki z pytaniem, czy można by je z powrotem przekazać właścicielowi, ponieważ on pracuje naukowo, a jednocześnie jest szefem protokołu dyplomatycznego. Ja się oczywiście zgodziłem. Za tydzień zadzwonił Radziwiłł i zapytał, czym się może odwdziżyć. A ja na to – niech mi pan pomoże wyjechać za granicę do służby dyplomatycznej. Za parę tygodni, bodajże w lutym 1946, wezwano mnie do ministerstwa spraw zagranicznych i poinformowano, że jest do objęcia placówka dyplomatyczna w Bukareszcie. Potrzebny był konsul, który będzie jednocześnie prawnikiem. Ponieważ miałem wykształcenie prawnicze, zdobyte podczas wojny na tajnych kompletach na Uniwersytecie Jagiellońskim, zaproponowali mi

objęcie tej placówki. Potrzebowali ludzi wykształconych, którzy władali językami. Tolerowali Radziwiła, który był księciem, więc dlaczego nie mieliby tolerować mnie. Zaraz po wojnie ci, którzy o tym decydowali, byli ludźmi z dawnej dyplomacji z prawdziwego zdarzenia. Oni zorientowali się, że mam kwalifikacje.



Ślub z Ireną Latacz, lipiec 1944 r.

Na placówkach

Rumunia

To była niezwykła podróż. Jechaliśmy 12 dni, w przyczepionym do pociągu specjalnym wagonie. Z Polski pojechaliśmy najpierw do Bratysławy, a stamtąd do Jugosławii. Pozrywane mosty powodowały, że nie wszystkie miejsca były przejezdne, ale nie mieliśmy innej możliwości, trzeba było jakoś przejechać. Z

Jugosławii dostaliśmy się nad brzeg Dunaju. Dunajem można się było przeprawić na drugą stronę rzeki. Tam przyjechały po nas auta. Akurat wtedy strajkowano i nie można było nic załatwić. Trzeba było zapłacić łapówkę rumuńskiemu dygnitarzowi, który zarządzał tym odcinkiem. Stamtąd już dojechaliśmy do Bukaresztu. Ambasada polska dostała do dyspozycji dawny pałac Magdy Lupescu, kochanki króla Karola, który jeszcze żył i mieszkał w południowej Ameryce. Królowa Maria też za moich czasów żyła i była królową matką, a syn Michał, po wygnaniu ojca, został królem. Po przyjeździe do Bukaresztu, musieliśmy być przedstawieni królowi. Obowiązywał bizantyński protokół dyplomatyczny. Trzeba było przejść trzy kroki, stanąć, ukłonić się. Król nic. Znow trzym kroki, stanąć, ukłonić się. Wtedy król skinął głową. Potem jeden krok i król jeden krok. Wówczas ambasador mógł zacząć swoją mowę. Trenowali nas, jak to robić. Stałem obok ambasadora jako drugi do przedstawienia królowi. Ambasador przedstawił mnie po francusku, a król się zapytał - jak długo jest pan w moim kraju? - Przyjechałem cztery miesiące temu, ale już mówię pańskim językiem - odpowiedziałem. I zacząłem mówić po rumuńsku. Król bardzo się zdziwił, ale był zachwycony. Wywiązała się dłuższa rozmowa już po rumuńsku, protokół dyplomatyczny się załamał. - Musi pan wkrótce przyjechać do mojego pałacu - powiedział król. I zaprosił mnie do siebie. Język rumuński jest szalenie ciekawą mieszaniną różnych języków, ma rdzeń łaciński, dużo francuskich słów i ok. 20 procent słów pochodzenia

słowiańskiego. Ja miałem w szkole niemiecki przez 6 lat, łacinę przez 8 lat, angielski 4 lata. A oprócz tego znałem trochę rosyjski, gdyż mój ojciec, który skończył rosyjskie gimnazjum zawsze liczył po rosyjsku, było mu łatwiej niż po polsku. Miałem wtedy fantastyczną pamięć, więc mogłem się w parę miesięcy nauczyć języka. Po czterech miesiącach pobytu w Rumunii, prowadziłem wykłady w radio Bukareszt po rumuńsku na temat polskiej kultury.

Król Michał dowiedział się, że mam do dyspozycji awionetkę RWD 13, bo odebraliśmy od Rumunów, polskie samoloty, które w 1939 roku uciekając z Polski, wylądowały w Rumunii. Jeden z tych samolotów zatrzymaliśmy dla ambasady. Oblatywałem nim wszystkie polskie ośrodki. Miałem pilota, pana Krawczyka, który był instruktorem króla i uczył go latać. Wobec tego, mój samolocik miał prawo stać na królewskim lotnisku, co było niezwykle zaszczytem. Podczas mojego pobytu w Bukareszcie, do Rumunii przyjechali Rosjanie, żeby zmusić króla Michała do rezygnacji. Ale on powiedział – możecie mnie wysiedlić z kraju, ale ja nie zrezygnuję, zawsze będę królem. Nie złożył rezygnacji i nadal ma swoje biuro w Szwajcarii. Korespondujemy ze sobą do tej pory. Zawsze się podpisuje Rex. Król zwykle dyplomatom odwołanym z placówki dawał jakieś wino ze swoich królewskich piwnic. Gdy został oficjalnie powiadomiony, że będę odwołany i wyjeżdżam z Rumunii (było to w ostatnim czasie, kiedy był jeszcze królem), przysłał mi 2 litry swojego wina z piwnicy

królewskiej wraz z pozdrowieniami. Bardzo sobie ceniłem ten gest. Potem ja mu się zrewanżowałem. Szereg lat później, gdy zostałem Wielkim Mistrzem Orderu Świętego Jana Jerozolimskiego, mianowałem go Royal Protector.

Pomiędzy placówkami

W Rumunii byliśmy prawie dwa lata. Niedługo potem wyjechaliśmy do Polski, gdyż zostałem formalnie przeniesiony na inną placówkę, ale jeszcze nie było zdecydowane na jaką. Przez krótki czas miałem być radcą w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Warszawie. W Polsce, żona została u moich rodziców w Kielcach, a ja dojeżdżałem do Warszawy.

Proponowano mi wyjazd na placówkę konsularną w Goeteborgu w Szwecji. Pewnego dnia zostałem poproszony do dyrektora departamentu personalnego, żeby definitywnie omówić tę sprawę. Kiedy przyjechałem do Ministerstwa, w poczekalni siedział kolega z MSZ-tu, który, jak się okazało, mówił po szwedzku. Ja szwedzkiego nie znałem. – Dokąd Pan jedzie? – zapytałem. – Wysyłają mnie do Baden-Baden, choć ja nie mówię po niemiecku – odpowiedział kolega. A ja na to – a mnie wysyłają do Szwecji, choć nie mówię po szwedzku. Może się zamienimy? Pan pojedzie do Szwecji, a ja do Baden-Baden, bo ja mówię swobodnie po niemiecku. Mówię też po francusku, a tam jest francuska strefa okupacyjna. Do dyrektora departamentu, weszliśmy więc obydwaj, cała sprawa została załatwiona i w ten

sposób dostaliśmy nominacje. Akredytacja przy francuskiej strefie okupacyjnej w Niemczech, to dość długa formalność, która musiała przejść przez różne szczeble we Francji. Powiedziano mi więc, że mogę wyjechać najpierw do Berlina, żeby się zapoznać z problemami niemieckimi, będąc jednocześnie przydzielonym do konsulatu generalnego. To mi bardzo odpowiadało, ze względu na moją wojenną przeszłość. Chciałem mieć satysfakcję. Niemcy, u których wynajmowałem pokój, zupełnie nie wiedzieli jak się zachowam w stosunku do nich. A to, że byłem normalnym człowiekiem, z którym można o wszystkim porozmawiać, bardzo ich zdziwiło. Pobyt w Berlinie był ciekawy. Konsulat znajdował się w sowieckiej strefie okupacji, a ja mieszkalem w strefie francuskiej. W tym czasie moja żona była w ciąży. Zostawiłem ją w Kielcach, żeby dziecko urodziło się w Polsce. Żona powiedziała, że nie chce, żeby urodził się Cygan w Rumunii, albo Niemiec w Niemczech. Dziecko musi urodzić się w Polsce. Mój syn miał przyjść na świat ok. 24 marca 1948 roku. Ja wobec tego, 21 marca wyjechałem samochodem z Berlina przez Poznań do Kielc. Ale musiałem się zatrzymać w Poznaniu na noc. Gdy przyjechałem do domu, okazało się, że już jestem ojcem. Zbliżały się wtedy święta, moja żona coś robiła w domu i to przyspieszyło poród. Bardzo mnie dotknęło, że się spóźniłem. Ale żona twierdziła, że przyjechałem akurat.

Posiedziałem jakiś tydzień w Kielcach z rodziną i

zdecydowaliśmy, że jak dziecko będzie miało ok. trzy miesiące, to przyjadę po nich i zabiorę do Baden-Baden. Po tygodniu wróciłem do Niemiec. Konsulat remontowali, mieszkałem więc w Rastaedt pod Baden-Baden. Po trzech miesiącach przywiozłem żonę z dzieckiem.

Baden-Baden

Pobyt w Baden-Baden był bardzo ciekawy. Francuzi traktowali tę strefę jak swoją własność. Pierwszym językiem dla dyplomatów był język francuski, niemieckiego używano jako drugiego.

Baden-Baden to słynne uzdrowisko. Dostaliśmy bardzo ładną willę, w której mieszkał kiedyś Turgieniew, do prywatnego użytku. Dom był pięknie położony, na szczycie góry. Na tej placówce spotkałem wielu bardzo ciekawych ludzi, np. margrabiego von Baden, kuzyna księcia małżonka królowej angielskiej. Poznałem też miejsca, gdzie się rozgrywała historia. Generałowie, którzy organizowali przewrót przeciwko Hitlerowi, pochodzili z Badeni i ich rodziny tam żyły.



Jerzy Krzeczowski z synem Andrzejem, Baden-Baden, 1949 r.

Niedaleko Baden-Baden, w górach znajdowały się piękne tereny narciarskie. Tylko pół godziny drogi samochodem do wysokich gór, więc mogliśmy jeździć na nartach.

W Baden-Baden było bardzo dużo konsulatów, ok. 60-ciu. Francuzi dali nam prawa, które normalnie konsulom nie przysługują. Np. Konsulowie na samochodzie mają zwykle tabliczkę CC, Consul Consular, a my mieliśmy CD, Corpus Diplomatic. Najbardziej bałem się Rosjan, bo przecież Rosjanie też mieli tam swoją placówkę. Więc nie bardzo utrzymywałem stosunki dyplomatyczne z Rosjanami, tyle co oficjalnie wypadało.

Raz pojechałem do Polski na wakacje, a kiedy wracałem, na

lotnisku czekał na mnie cały konsulat. Wszyscy. Zastanawiałem się, co się mogło stać. - Pański zastępca uciekł - powiedzieli. Był majorem wojska polskiego, szefem misji wojskowej i jednocześnie wicekonsulem. Przyjechałem do biura i dowiaduję się - wyjechał, zabrał wszystko ze sobą i zniknął. Za trzy dni dostaję list z pieczętką z Zurychu. List jest prywatny do mnie. Mój wicekonsul pisze - niech pan przyjedzie do Zurychu, czekam na pana. Na drugi dzień zdecydowałem się przyjechać. Melduje się w hotelu, pytam o niego, a oni mówią - niestety, dziś rano wyjechał. Amerykanie go zabrali. Prawdopodobnie chciał się ze mną skontaktować i namówić mnie na ten sam krok.

Staralem się mieć jak najlepsze stosunki z różnymi dyplomatami, między innymi z Francuzami, z Włochami, ze Szwedami. To był bardzo ciekawy okres. Mielśmy mniej więcej 200 przyjęć rocznie, na które trzeba było pójść, a potem się rewanżować. Pamiętam raz zrobiliśmy przyjęcie u nas w domu na 150 osób. Żona miała masę roboty, ale bardzo się wszystko podobało. Innym razem byliśmy zaproszeni z żoną do konsula generalnego Francji. Siedziałem niedaleko jego żony, a moja żona siedziała koło konsula. Francuzi lubili się trochę przekomarzać. Akurat poprzedniego dnia podano do wiadomości, że Konstanty Rokossowski został marszałkiem Polski. Więc zwrócili się do mnie z pytaniem - jak Pan, jako polski patriota reaguje na to, że Rosjanin został marszałkiem Polski? A ja na to - to rzeczywiście niezwykła nominacja, ale muszę państwu powiedzieć, że

pierwszym cudzoziemskim marszałkiem Polski był Francuz, marszałek Foch. To ich zaskoczyło i odpowiedzieli - bardzo dyplomatyczna odpowiedź. I już mnie nie męczyli.

Z Francuzami miałem bardzo dobre stosunki. Doskonale wiedzieli, co i gdzie się dzieje, we wszystkim się orientowali. Uważałem, że skoro Rokossowski został marszałkiem, to najwyższy czas się wycofać. Zacząłem myśleć, czy bym nie mógł wywieźć z Polski moich rodziców. Okazało się to jednak niemożliwe, bo w żaden sposób nie można było wydostać ich na paszport konsularny. Niedowierzali nikomu. Tylko moja siostra przyjechała do nas z wizytą na parę tygodni, ale rodzice już nie.

Jednego dnia, późną jesienią 50 roku, do Baden-Baden przyjechała grupa „mołojców”, polskich kurierów dyplomatycznych, którzy właściwie byli rosyjskimi agentami. Niektórzy nawet mówili po rosyjsku, a nie po polsku. Przyszli do naszego domu, żeby mnie odwiedzić. Ja akurat byłem chory, miałem ciężką gripę. Leżałem w pokoju na górze, z wysoką gorączką. I to mnie uratowało. Żona do nich powiedziała - niestety, mąż jest bardzo chory. Ale oni nie dowierzali - czy możemy go odwiedzić? - Proszę bardzo. Chcieli się przekonać. Dopiero gdy zobaczyli, że naprawdę jestem obłożnie chory i nic nie wiem, co się dzieje na świecie, dali za wygraną. Pojechali gdzie indziej i tamtego kolegę zabrali do Polski. Przewidywali, że

gdy się go formalnie odwoła, może nie wrócić. Chcieli więc uprzedzić jego decyzję, dlatego go porwali. Dali mu zastrzyk usypiający i tak przewieźli przez granicę. Szereg dyplomatów w ten sposób wróciło.

Gdy doszedłem do siebie, poszliśmy z żoną na lody i powiedzieliśmy sobie, że trzeba się szybko zwijać. Ale jeszcze chciałem poradzić się mojego ojca. Nie zawiadaniałem urzędu, tylko pojechałem Orient Expressem do Polski. Zatrzymałem się w Kielcach, spotkałem się z ojcem, rozmawialiśmy. Ojciec mówi – synu ratuj się. Tu nie masz po co wracać, ratuj się. Zostawiłem ojcu i mamie trochę pieniędzy, pożegnałem się z nimi i to było wszystko. Rano pojechałem do Warszawy, wszedłem do Ministerstwa, udałem się do kolegi, który był jednym z dyrektorów departamentu, i któremu mogłem ufać. Poszedłem do niego, a on mówi – coś ty zrobił, już na ciebie czekają, granica polsko-niemiecka została zawiadomiona, że jak będziesz wracał, mają cię zatrzymać. Ja cię muszę uratować, dam list kurierski z ważnymi papierami i pojedziesz do Czechosłowacji, a stamtąd do Niemiec. Wsiadłem więc w Orient Expres, który jechał do Baden-Baden przez Pragę. I tak wróciłem do domu.

Kiedy przyszedłem na drugi dzień do biura, zaraz po 10 rano wchodzi sekretarka i mówi – Panie konsulu tu jest pułkownik amerykański, który chce Pana zobaczyć. – Proszę bardzo – mówię. Pułkownik wszedł, przedstawił się i mówi – przyszedłem,

żeby się upewnić, czy został pan ostrzeżony w Warszawie. A ja na to – tak zostałem ostrzeżony. – My prosiliśmy naszego człowieka, żeby pana ostrzegł.

Po decyzji o wyjeździe Francuzi zaczęli mi składać różne oferty. Marszałek Francji Guillaume, który został Resident General de Maroc, zaproponował mi placówkę – pracę w administracji w jego biurze w Maroku. Ale moja żona się sprzeciwiła. – Nie – mówi, to za daleko od Europy, za daleko od świata, lepiej nie. I przekonała mnie. Zdecydowaliśmy się więc poczekać na coś innego.

Wezwałem swojego przysłanego z Polski wicekonsula, który należał do partii komunistycznej. Ponieważ ja nie należałem, więc musiał mnie pilnować. Zwracam się więc do niego – panie P., zdecydowałem zrezygnować ze stanowiska i wszystko panu przekazuję, tu jest kasa, tu są pieczęcie, paszporty, blankiety, tu jest wszystko, pan to przejmie i zawiadomi jutro Warszawę i niech zrobią, co chcą. A on na to w płacz. – Panie konsulu – mówi – jak pan może mi to zrobić, przecież pan mnie musi zabrać, ja nie jestem komunistą, jestem tylko tu wysłany jako komunistą, ale ja pana podziwiam i chcę wyjechać razem z panem za granicę, ja nie chcę zostać i wracać do Polski. Ja nie mam z nimi nic wspólnego. Wzięli mnie do wojska, boso chodziłem, bo nie było butów, nabawiłem się choroby płuc. Chciałem wyjechać za granicę, żeby być od tego jak najdalej. – Ja na to – panie drogi, ja

panu wszystko przekażę, pan oficjalnie zawiadomi Warszawę, a ja będę czuwał, załatwię wizę przez moich Francuzów czy Amerykanów i pana stąd zabiorę. – Czy ja mogę na to liczyć? – Absolutnie. Zacząłem więc zabiegać o wizę do Kanady dla niego. Bo ja już miałem załatwioną, przez Lestera Pearsona, ówczesnego Ministra Spraw Zagranicznych, a późniejszego premiera Kanady. Ambasador na początku nie chciał się zgodzić, ze względu na chorobę płuc mojego zastępcy – przecież my takich nie bierzemy. Ja na to – zróbcie wyjątek, człowiek nie może wrócić do Polski, nie jest komunistą i trzeba go uratować. Weźcie go do Kanady, jak przyjedzie, to dacie go do leczenia i się wyleczy. I w końcu dostałem tę wizę dla niego. Parę miesięcy pobytu w Kanadzie i go wyleczyli. Ten człowiek był tak szczęśliwy. On, jego żona i dziecko. Do końca życia był mi wdzięczny.

Gdy trzeba było zlikwidować nasze eleganckie mieszkanie w Baden-Baden, Francuzi dali nam do dyspozycji małą willę na skraju miasta pod lasem. Powiedzieli – pan tam będzie mieszkał, naokoło jest nasz posterunek, będziemy pilnować domu. Jest pan w bezpiecznym miejscu. Stamtąd przewieziemy pana do portu, z którego pan odjedzie. Mamy pana pod opieką, niech się pan nie boi. I rzeczywiście żandarmeria francuska cały czas nas pilnowała. W Baden-Baden była z nami nasza wierna służąca, Ania Muzyczka. Jej mąż zamordował Niemca, który go prześladował w obozie i dostał w Niemczech wyrok

dożywotniego więzienia. Nie można go było stamtąd wydobyć. Ania więc do nas mówi - ja z państwem do Ameryki jadę. Ania dostała wizę do Ameryki jako uchodźca. A my pojechaliśmy do Kanady. Ania była z nami w kontakcie, taka wierna służąca, jak rodzina. Kochała tego naszego chłopaka i ciągle się z nim bawiła.

Nasz syn miał wychowawczynię, Niemkę, która była siostrą katolickiego arcybiskupa. Nazywała się Frau Kohlmayer. Niemka ta była bardzo nam oddana i nauczyła Andrzeja mówić po niemiecku, co oczywiście denerwowało moją żonę. A Andrzej był dwujęzyczny, oba języki szybko opanował i nie miał z tym żadnych trudności.

Miałem też bardzo oddanego szofera, Niemca Norberta, który dawniej był osobistym szoferem Feldmarszałka Scheinhorsta. Pochodził z rodziny niemieckich socjalistów, którzy nienawidzili Hitlera. Jego ojciec był więziony. On mi był mi tak wierny, jak tylko Niemiec może być wierny swojemu przełożonemu. W czasie naszego pobytu zdecydował się ożenić i prosił mnie, żebym był na jego ślubie i weselu. On był naszym kontaktem z zewnętrznym światem, gdy oczekiwaliśmy na wyjazd do Kanady. Mogłem mu ufać.

Gdy przyszedł dzień wyjazdu, pojechaliśmy do Bremen, który jest dużym portem. Miał nas odwiedzić szwedzki statek, Anna Salem. Statek ten wypełniony był do ostatniego miejsca emigrantami,

jadącymi do Kanady. Płynął do Halifaxu. Odpłynęliśmy w pięknej pogodzie, mijaliśmy Danię, widzieliśmy z daleka Kopenhagę i wypłynęliśmy na pełne morze. Za parę dni zaczęła się burza. Mieliśmy płynąć osiem dni, a płynęliśmy dwanaście dni. Burza była tak straszna, że statek się nie posuwał, był rzucany w tę i z powrotem. Nie wiedzieliśmy, czy wyjdziemy z tego żywi, bo to był stosunkowo mały statek. Wszyscy ludzie chorowali na żołądek, lub wymiotowali, nikt nie mógł znieść tego kołysania. I tak nam zeszła podróż.

Fotografie pochodzą z archiwum rodzinnego Jerzego Korey-Krzeczowskiego.

Część 2:

„Polacy nie gęsi i swój język mają” – Jerzy Korey-Krzeczowski
(2)

*

***Jerzy Korey-Krzeczowski**, ekonomista, dyplomata, publicysta, poeta. Urodzony 13 lipca 1921 roku w Kielcach, w okresie II wojny świat. żołnierz Organizacji Bojowej Tajnej Armii Polskiej oraz Związku Walki Zbrojnej/Armii Krajowej. Studia prawnicze*

*na UJ w Krakowie (1940-44), doktorat na Uniwersytecie we
Freiburgu (1948-49), doktorat na Uniwersytecie w Tybindze
(1950), studia podyplomowe na Uniwersytecie Harvarda (1975).
Naczelnik Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Kielcach
(1945-46), attache kulturalny Ambasady Polskiej i konsul w
Bukareszcie (1946-47), konsul w Berlinie 1948, w Baden-Baden
(1948-51). Od 1951 roku w Kanadzie. Zmarł w Toronto w 2007 r.*

Świat coraz bardziej
pusty. Jerzy Połomski
(1933-2022).



Jerzy Połomski i Maria Nowotarska, spektakl „Dopóki śpiewam ja”, Toronto 2002 r, fot. arch. Salonu Poezji, Muzyki i Teatru
Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)

Odchodzą znani i lubiani aktorzy, piosenkarze, pisarze, malarze, kompozytorzy. Jeden po drugim. A byli z nami całe nasze życie. Tworzyli, jak się urodziliśmy, wypełniali świat filmu, czy estrady, jak dorastaliśmy. Ich twarze uśmiechały się do nas z ekranu, pojawiały się na plakatach. Takie filmy jak „Janosik”, „Czterdziestolatek”, „Pan Wołodyjowski”, „Czarne chmury”, „Czterej pancerni i pies”, czy „Stawka większa niż życie” przenosiły nas do innej krainy, pozwalały przeżywać emocje, odrywały od szarej, komunistycznej rzeczywistości. Nie ma już

Gustlika, kapitana Hansa Klossa, małego Rycerza, czy pułkownika Krzysztofa Dowgirda. Nie ma takich postaci jak Czesław Miłosz, czy Krzysztof Penderecki. A wydawało się, że będą zawsze.

14 listopada 2022 roku odszedł też Jerzy Połomski. Może nie byłam zbyt wielką entuzjastką jego repertuaru, był to repertuar raczej dla mojej mamy, czy babci, ale jego piosenki stanowiły pewien niezmienny kanon, wypełniający radiowe stacje muzyczne. Do dziś brzmią mi w pamięci jego utwory.

Jerzego Połomskiego miałam okazję poznać przy okazji zbierania materiałów do książki „Teatr spełnionych nadziei” o teatrze polskim w Toronto, założonym przez aktorkę Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie – Marię Nowotarską. Teatr ten przygotował dwa spotkania poświęcone twórczości mieszkającego w Toronto Jarosława Abramowa-Newerlego. Na drugi spektakl p.t. „Dopóki śpiewam ja”, który miał miejsce w 2002 r. został zaproszony Jerzy Połomski. Tytuł został zaczerpnięty z piosenki z jego repertuaru: *...nic się nie martw, sytuacja nie jest zła – dopóki śpiewam ja!*



SALON MUZYKI I POEZJI - Polsko Kanadyjskie Towarzystwo Muzyczne
pod patronatem honorowym Konsulatu Generalnego R.P. w Toronto
przedstawia spektakl piosenki i satyry poświęcony twórczości

JAROSŁAWA ABRAMOWA NEWERLY

Dopóki śpiewam



Występuje:
MARIA NOWOTARSKA
KAROLINA INGLETON
HELENA JANIK
MALGORZATA MAYE
KINGA MITROWSKA
AGATA PILITOWSKA
SŁAWEK IWASIUŁ
KRZYSZTOF JASINSKI
ANDRZEJ PASADYN

duet taneczny:
AGATA HANSEN I RAFAL HOŁODY,
Grupa Studia Aktorskiego Salonu S.A.S.

scenariusz i reżyseria:
JERZY POŁOMSKI

Scenariusz i reżyseria
MARIA NOWOTARSKA

Kapelań i chór muzyczny:
JÓZEF SOBOLEWSKI

Scenografia
JOANNA DĄBROWSKA

Światło, dźwięk
KRZYSZTOF SAJDAK

Organizacja
JERZY PILITOWSKI

Illustration and design by Tadeusz Białostocki, tadeuszbialostocki.com



Maria Nowotarska i Jerzy Połomski, spektakl „Dopóki śpiewam ja”

✱

Byłam na tym spektaklu.

„Artysta miał wystąpić z krótkim recitalem, jednak na prośbę publiczności występ zamienił się w wieczór wspomnień wypełniony większością znanych przebojów z repertuaru Jerzego

Połomskiego. Piosenkarz pojawił się na scenie tak jak przed laty, w nienagannym garniturze, równo uczesany, elegancki, tak samo śpiewający swoje przeboje. Stworzył swój własny styl i po cóż miałby go zmieniać. Śpiewa dla tych, którzy go słuchają, którzy go lubią. To jego głos towarzyszył dancinom, sylwestrom w lokalach, gdzie tańczono przy dźwiękach piosenki *Cała sala, śpiewa z nami*. To jego głos dobiegał z radia na wczasach, a wakacyjny deptak brzmiał słonecznie piosenką *Bo z dziewczynami nigdy nie wie, och nie wie się*. Publiczność w Toronto bardzo gorąco przyjęła Jerzego Połomskiego. – *Była niesłychanie serdeczna atmosfera – wspominał potem piosenkarz. – Marysia zapowiedziała mi po prostu po królewsku. Szalenie to było miłe. Czuję gorące przyjęcie mnie przez publiczność. Sprawiało mi to dużą radość”*.

Joanna Sokołowska-Gwizdka, Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny, Novae Res, 2016.

Z Jerzym Połomskim umówiłam się w kawiarni na Mokotowie. Był punktualnie. Rozmawialiśmy długo, w bardzo miłej i ciepłej atmosferze. Opowiadał jak poznał Marię Nowotarską i jaką radość sprawiło mu zaproszenie do Toronto. Mówił, że nie stara się nadążyć za nowymi trendami w muzyce, nie kokietuje młodego pokolenia, śpiewa dla tych, którym jego piosenki przypominają lata młodości, otwierając na chwilę jakiś zamknięty rozdział w życiu. Ma swoją wierną publiczność i będzie dla niej

śpiewał, dopóki będzie go potrzebować.

Radził mi, żebym na okładce książki nie używała drugiego nazwiska – Gwizdka, tylko została przy nazwisku panińskim Sokołowska, bo lepiej brzmi. Mówił, że jego prawdziwe nazwisko to Pająk. Jego brat, mieszkający na Florydzie czy siostra, nigdy nie zmienili nazwiska. Jemu, jako dobrze zapowiadającemu się artyście estradowemu, zmianę nazwiska zaproponował Aleksander Bardini, gdy był jeszcze na studiach. (*Wikipedia podaje, że był to Ludwik Sempoliński*). I nie żałuje tej decyzji. Odpowiedziałam wtedy, że nie chciałam mojemu mężowi zrobić przykrości, więc pewnie zostanę przy dwóch nazwiskach.

Rozmowę z Jerzym Połomskim opisałam w książce „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny”. Trzeba chwycić chwile, bo ludzie, którzy mieli być zawsze, tak szybko zamykają za sobą drzwi.



Maria Nowotarska i Jerzy Połomski, Toronto 2002, fot. arch. Salonu Poezji, Muzyki i Teatru

Oto fragment książki:

„Jerzy Połomski:

Pewnego dnia zjawiała się w Warszawie bardzo elegancka, wielkiej urody pani i przedstawiła się znanym mi nazwiskiem, świetnej krakowskiej familii. Od razu skojarzyłem ją z Różą Nowotarską z Waszyngtonu, moją największą przyjaciółką, jaką

kiedykolwiek spotkałem. Dama, jak się potem okazało, blisko spokrewniona z Różą Nowotarską, zaprosiła mnie do udziału w jubileuszu Jarosława Abramowa-Newerlego. Obiecała załatwić wszystkie formalności związane z przyjazdem. Trochę była skrupowana, bo nie mogła mi zaproponować wysokiego wynagrodzenia. Mnie jednak to zaproszenie bardzo zainteresowało, bez względu na warunki i poleciałem do Toronto.

Marysia jest aniołem opiekuńczym dla artystów, których sprowadza. Znalazło się więc dla mnie osobne mieszkanie, blisko niej i jej rodziny u pani Teresy Wierzbickiej. Otoczony byłem ciepłem i rodzinną atmosferą. Pani domu częstowała mnie obiadem, a ja czułem się, jakbym ich wszystkich znał od dawna.

Podobało mi się mieszkanie Marii i Jerzego, urządzone w krakowskim stylu. Ile tam było różnych pięknych drobiazgów, gustownie zestawionych, od razu widać, że to mieszkanie artystki. Dobrze się czuję w takich wnętrzach.

Podczas wieczoru poświęconemu Jarosławowi Abramowowi, miałem okazję spotkać się z inteligencją polonijną. Na widowni była m.in. pani doktor Ryszarda Russ i zaprosiła mnie do udziału w koncercie charytatywnym. Tak dzięki Marysi – doszło do kontaktów z serdecznie do mnie nastawioną publicznością.

Bardzo mi się podoba, że Marysia gromadzi wokół siebie

młodzież polonijną, że pozwala im się wyśpiewać i jest dla nich sceniczną matką. Dzięki temu młodzi ludzie nabierają pierwszych doświadczeń aktorskich i mają okazję obcować z polską literaturą. Może ta działalność zaowocuje tym, że dzieci polskich emigrantów będą chciały wrócić do kraju swoich rodziców? Salon (*Salon Poezji, Muzyki i Teatru - nazwa teatru polskiego z Toronto*) według mnie spełnia też rolę „spoidła”. Gdyby każdy w Toronto żył swoim życiem, a wieczorami zamykał się w czterech ścianach, to osamotnienie i izolacja kulturowa by go ubezwłasnowolniły. Dzięki zaangażowaniu Marysi Polonia ma okazję łyknąć haust polskiego słowa na żywo. A to co innego, niż audycja z taśmy.

Ze swojej strony mogę powiedzieć, że stałem się szczerym wielbicielem Marysi.

Mimo mody na młodych artystów, oczekiwania na nowe twarze i nie ograne głosy, przy zaangażowaniu mediów w promowanie piosenkarzy, którzy mogą potencjalnie przynosić dochód wytwórciom fonograficznym, w czasach wszechobecnej ekspansji pieniądza, Jerzy Połomski zachował swój styl. I ciągle występuje ze swoimi przebojami w Polsce i za granicą. Jest idolem pewnego pokolenia i to pokolenie dalej chce go słuchać. Każdy kontakt z widownią przynosi zarówno jemu, jak i publiczności wiele

radości. Jerzy Połomski patrzy z dystansem na swoje życie i osiągnięcia. Nie goni za popularnością, pieniędzmi, nie chce być „na topie”. Śpiewa dla tych, którzy go słuchają, rozpalając serca sentymentem.

Jerzy Połomski:

W życiu codziennym i w zawodzie powinno się być autentycznym, nikogo nie udawać i żyć w zgodzie ze swoim sumieniem. Wtedy można powiedzieć, że żyło się pełnią życia. Trzeba lubić co się robi. Nie ma większego nieszczęścia, jak wykonywanie nie lubianej profesji dla zarobku.”

Joanna Sokołowska-Gwizdka, Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny, Novae Res, 2016.

f / NOVAE RES

Książka Joanny Sokołowskiej-Gwizdki łącząc elementy żywej narracji z naukowym warsztatem stanowi niezwykle świadectwo polonijnej działalności artystycznej, a jednocześnie jest wyrazem głębokiego uznanie dla niejedyni Soboru Pozyty, Muzyki i Teatru w Toronto – Marii Nowotarskiej
prof. dr hab. Anna Kuligowska-Korzaniewska

„Teatr spełnionych nadziei. Kartki z dziejów emigracyjnej sceny” jest opowieścią o teatrze założonym w Toronto na początku lat 90. przez aktorkę Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie Marię Nowotarską i o ludziach, którzy ten teatr tworzyli. Maria Nowotarska, mająca w swojej karierze zawodowej kontakt z najwybitniejszymi reżyserami i scenografami w historii teatru polskiego, przeszczepiła na grunt emigracyjny koncepcje wpisujące się w polską tradycję teatralną, wykorzystując przy tym możliwości, jakie dała nowa ojczyzna. Dzięki jej determinacji aktorzy, śpiewacy czy muzycy, którzy w Toronto podejmowali inne zawody, w torontońskim teatrze znaleźli swoje spełnienie i swoją ojczyznę. Teatr był też darem dla wieloletniej emigracji kanadyjskiej, głównie posolidarnościowej, która tęskniła za krajem i jego kulturą.

Książka ta obejmuje lata 1991-2012 i jest podróżą w czasie przez torontońską scenę, utwalającą unikalną, niepowtarzalną i ulotną materię teatru. Wielu osób związanych z torontońską sceną już nie ma, wielu poszło swoją życiową drogą. Jest to więc zapis historyczny, rejestrujący emocje i potrzeby właściwe dla pewnego czasu.

NOVAE RES
POPULARNOŚĆ
9 783808 832713
Cena: 7,9 zł (z VAT)

TVP 3
ŁÓDŹ
TVP POLONIA

CULTURE AVENUE

JOANNA SOKOŁOWSKA-GWIZDKA
TEATR SPEŁNIONYCH NADZIEI

TEATR SPEŁNIONYCH NADZIEI
KARTKI Z ŻYCIA EMIGRACYJNEJ SCENY
JOANNA SOKOŁOWSKA-GWIZDKA

NOVAE RES

6 grudnia, 2002, „Dopóki śpiewam ja”, spektakl poświęcony twórczości Jarosława Abramowa-Neverlego, scenariusz i reżyseria: Maria Nowotarska kierownictwo muzyczne: Józef Sobolewski, scenografia: Joanna Dąbrowska, światło i dźwięk: Krzysztof Sajdak, organizacja: Jerzy Pilitowski, projekt plakatu: Tadeusz Biernot, występują: Maria Nowotarska, Karolina Ingleton, Helena Janik, Małgorzata Maye, Kinga Mitrowska, Agata Pilitowska, Sławek Iwasiuk, Filip Świrski, Andrzej Pasadyn, duet taneczny Agata Hansen i Rafał Hołody, Grupa Studia Aktorskiego Salonu S.A.S. oraz gościnnie JERZY POŁOMSKI, Spektakle: Burnhamthorpe Library Theatre - 1350 Burnhamthorpe (7, 8 grudnia 2002).

*

Zobacz też:

„Teatr spełnionych nadziei” - opowieść o polskim teatrze w Toronto.

Więcej niż monografia. „Teatr spełnionych nadziei” Joanny Sokołowskiej-Gwizdka.

W krzywym zwierciadle Jarosława Abramowa-Newerlego

Spojrzenie w nieskończoność



Wilek Markiewicz, Ouroboros pożerający własny ogon, symbol wieczystości, otaczającej kosmos, drzeworyt

Wilek Markiewicz (*Toronto*)

Jest rzeczą ludzką, że nas przyciąga fantastyka. Jest również rzeczą ludzką, że się wgłębiamy w podstawowe ludzkie zagadnienia. Te dwie tendencje naturalnie się przeplatają. Postaram się dać parę przykładów magicznego piękna *science - fiction*, które popularyzuje to, co w nas głębokie i podstawowe.

W jednym z nich, statek powietrzny z obcej planety wylądował na Ziemi. Szczególnością danego statku było, że funkcjonował jako żyjący stwór. Był on harmonijną kompozycją elementów, które mogły żyć poszczególne, zaś razem tworzyły doskonale funkcjonujący wehikuł międzyplanetarny. Jedynym elementem, którego było brak w danym statku kosmicznym to „Pchacz”, który byłby zdolny by zainicjować myślą praktycznie nieograniczoną szybkość statku. Poprzedni „Pchacz” zmarł i statek nie mógł wrócić na swą planetę, aż do odnalezienia nowego „Pchacza”. Zbiegiem okoliczności „Pchacz” miał być ludzki. Pierwszym ziemianinem, którego napotkali był młody mężczyzna. Zdumiony aspektem dziwnych stworów mówiących jego językiem, zemdlął, a oni byli zdumieni, że „Pchacz”, najbardziej skomplikowany z mieszkańców kosmosu, mógł być czymś zaskoczony. W końcu przekonali go, że należy do gatunku „Pchaczy”. Wy tłumaczyli mu, że wszyscy mieszkańcy kosmosu są potencjalnymi komponentami całości i że ostatecznym celem każdego jest komunikacja kosmiczna, gdy staną się częścią kosmicznego statku. Zapewnili go, że odnajdzie raj na głównej planecie - kwaterze dla wszystkich, bez „Pchacza” zaś, nie osiągną nigdy dostatecznej szybkości by tam dotrzeć. Po kilku bezowocnych próbach osiągnął sukces i statek poleciał ku swemu przeznaczeniu z szybkością przekraczającą wielokrotnie światło.

Co nam mówi ta historia? Jest to konkluzja „kolektywistyczna”.

Samemu jest się niczym, zaś razem wszystkim. Nie żyjemy tylko dla siebie i połączonymi siłami osiągamy świetliste jutro.

Inna historia mówi o niebezpiecznym narkotyku usuwającym separację między rzeczywistością a iluzją. W szpitalach pacjenci krzyczą na obsadę: „idźcie precz, wiemy, że nie istniejecie!” Inni śpią i nie wiemy o jakiej rzeczywistości śnią. Bohater historii żyje swym długim życiem i umiera by się zbudzić do nowej egzystencji. To się powtarza wielokrotnie. Historia się kończy, gdy bohater dobrowolnie odrzuca świadomość. Czy przeżywa wtedy prawdziwą egzystencję, czy żyje iluzją? Wielu filozofów dyskutuje na temat wrot oddzielających rzeczywistość od iluzji. Film „Matrix” jest poświęcony temu zagadnieniu. Studenci wielowymiarowości często się gubią między spirytualizmem a materialną rzeczywistością (Hilley).

„Berserkers” Freda Saberhagen porusza temat istniejący od czasów Starożytności, o walce dobra i zła, ludzi i potworów, bogów i olbrzymów. Autorzy spirytualni wychwalają pozorną bezcelowość poświęcania się dla ideałów. Religijny astronauta poświęca swą przyszłość by, na obcej planecie, czytać Biblię metalowym robotom. Ksiądz odrzuca przyszłość na Ziemi by ratować dusze prostytutki na kosmicznym statku i dziękuje Bogu za ten przywilej. Osobnik asocjalny, odrzucony przez społeczeństwo znalazł duchowe schronienie w swej pieczarze, gdzie tworzy piękno. Pamiętam, że gdy czytałem tę historię,

byłem zdumiony wyborem tematu autora; kto może skorzystać z przekazu o kimś patetycznym i odrzuconym, żyjącym tylko dla siebie? Zabrało mi wiele czasu, żeby zrozumieć, że jednostka ma prawo i obowiązek, by się przeciwstawić kolektywnym siłom, że może znaleźć schronienie w świecie, gdzie granica między życiem zewnętrznym a wewnętrznym jest nieistotna. Tu powracamy do filmu „Matrix” i możemy sobie przypomnieć lub wyobrazić inne aspekty kosmogonii zwanej *science - fiction*.

*



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, 18 czerwca 2004 r.,
fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

Wiliam Markiewicz, urodzony w Krakowie, ukończył nauki biologiczne na Uniwersytecie w Genewie. Mieszkał w Paryżu i Hiszpanii, a od 1970 roku w Toronto. Redaktor kolumny etnicznej w „Toronto Sun” 1971 - 85. Wydawca i redaktor „Kuriera Polsko -Kanadyjskiego 1972 -86 - pierwszej prywatnej gazety polonijnej na kontynencie amerykańskim. Współpracownik Canadian Political News & Life 1988 - 89.

Dziennikarz francuskiego pisma „Voir” w Szwajcarii, oraz „Courier Sud” (Toronto), „Correo Hispano - Americano” (Toronto), „Latino” (Toronto), współpracownik „Głosu Polskiego” i „Związkowca” (Toronto). Wysłannik Kanadyjskiej Federacji Prasy Etnicznej na konferencję NATO w Brukseli (1977). Autor noweli „Kanibale duszy”, która ukazała się w wydawnictwie „Historias para no dormir” (Madryt) oraz w pismach ukazujących się w językach: hiszpańskim, francuskim i polskim w Toronto. Autor opowiadania „Ośmiornica”, które ukazało się w „Fantastyce” (Warszawa) oraz po hiszpańsku i po francusku w pismach w Toronto, a także po angielsku w prowadzonym przez siebie piśmie internetowym – „Vagabond Pages”.

Jako artysta malarz prezentował swoje prace na wystawach zbiorowych i indywidualnych m.in. w Toronto (w Galerii Laurier na Dundas West, między Islington a Kipling) oraz we Francji, Kanadzie, USA, Wielkiej Brytanii, Włoszech.

Jego artykuły „Pity and Horror” (Litość i zgroza) oraz „Abortion and Biology” (Aborcja i biologia) ukazały się w pismach dla pielęgniarzy i medyków w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie. „Disinformation as a War Crime” (Dezinformacja jako zbrodnia wojenna) znalazła swoje miejsce na str. 64 – 65 w glosariuszu kontrowersji „Many a Slip...” wydanego przez prof. Gregory James’a z Language Centre, Hong Kong University of Science and Technology. „Return to Paris” (Powrót do Paryża), w formie

miniatury artystyczno-literackiej o ograniczonym nakładzie,
wydana przez Pequeno Press w Bisbee, AZ.

Zbiór aforyzmów Wiliama Markiewicza „Extracts of Existence”
został wydany przez High Park Pages w Toronto. Książkę
ilustrował sam autor. Niektóre rozdziały przetłumaczone na
język polski ukazywały się w „Nowym Kurierze” w Toronto. W
2004 roku zbiór ten ukazał się w formie książkowej p.t. „Okruchy
bytu” wydany przez wydawnictwo „Silcan House”.

**Wilek Markiewicz zmarł 16 listopada 2014 roku w Toronto,
w wieku 84 lat.**

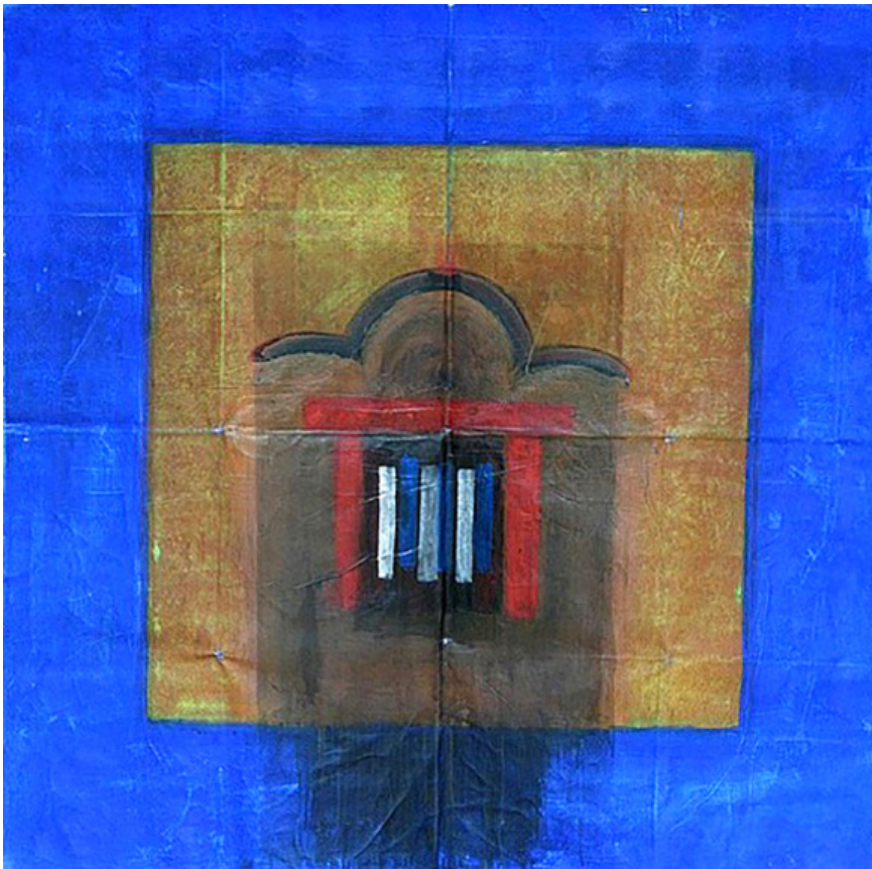
Zobacz też:

Filozof bytu

Wilek Markiewicz - drzeworyty

Artystyczne Toronto końca 2022 roku

Katarzyna Szrodt (*Montreal*)



Kazimierz Głaz, *Istota rzeczy*, 2005-2007

Jak żyć - spytał mnie w liście ktoś,

Kogo ja zamierzałam spytać

O to samo.

Znowu i tak jak zawsze,

Co widać powyżej,

Nie ma pytań pilniejszych

Od pytań naiwnych...

Zaczynam cytatem z Wisławy Szymborskiej. W 2023 roku poetka-noblistka będzie cytowana często z okazji 100-lecia urodzin i wybrania jej na Patrona Roku 2023. Znakomicie przyda nam się wszystkim jej subtelna ironia, dowcip, błyskotliwa inteligencja i filozoficzne podejście do rzeczy świata tego.

Chciałam zapytać „jak żyć” Kazimierza Głaza w czasie mojego tygodniowego pobytu w Toronto, choć artysta właściwie odpowiedział mi na to pytanie swoim długim i twórczym życiem pokazując, że trzeba poddać się sile talentu, połączyć go z pracowitością i podążać za głosem serca. Teraz Kazimierz Głaz,

pomimo słabości, ciągle tworzy, martwiąc się jednocześnie, że nie ma gdzie pokazać swoich prac. Pandemia spowodowała zamknięcie wielu galerii, w tym zaprzyjaźnionej galerii Zacka Pospieszyńskiego, z którą Głaz współpracował. Efekt covidu odbił się na życiu i twórczości wielu artystów.



Anna Machudera

Dla Ani Machudery – malarki, artystki form przestrzennych, oznaczało to brutalną konfrontację z życiem i przewartościowanie sądów na temat świata, ludzi, jak również własnej sztuki, w wyniku czego podjęła decyzję przeniesienia się z Toronto do Barrie, by móc czerpać siłę i inspirację z natury. W swojej pracowni -laboratorium poszukuje nowej ekspresji.

Artystce uznanie przyniosły „Illuminations”, eksperymentalne prace – koła na pleksi, składające się z trzech elementów: światła, przezroczystych okręgów pleksi i cienia. Teraz Ania Machudera spokojnie przechodzi do nowego etapu szukając piękna i ekspresji. Co się z tego wykluje – tego jest najbardziej ciekawa sama artystka.

W naturze, z dala od zgiełku, zamieszkała również Kika Misztela – kuratorka wystaw polskich artystów plastyków w Toronto. Stało się to ze szkodą dla polskiego plastycznego życia artystycznego w Toronto, ale zarówno Kika, jak i jej rodzina są szczęśliwi i spokojniejsi o zdrowie w domu, z którego okien widać magię obłoków. Zupełnie jak w „Niebie” Szymborskiej:

Nie muszę czekać na pogodną noc,

ani zadzierać głowy,

żeby przyjrzeć się niebu.

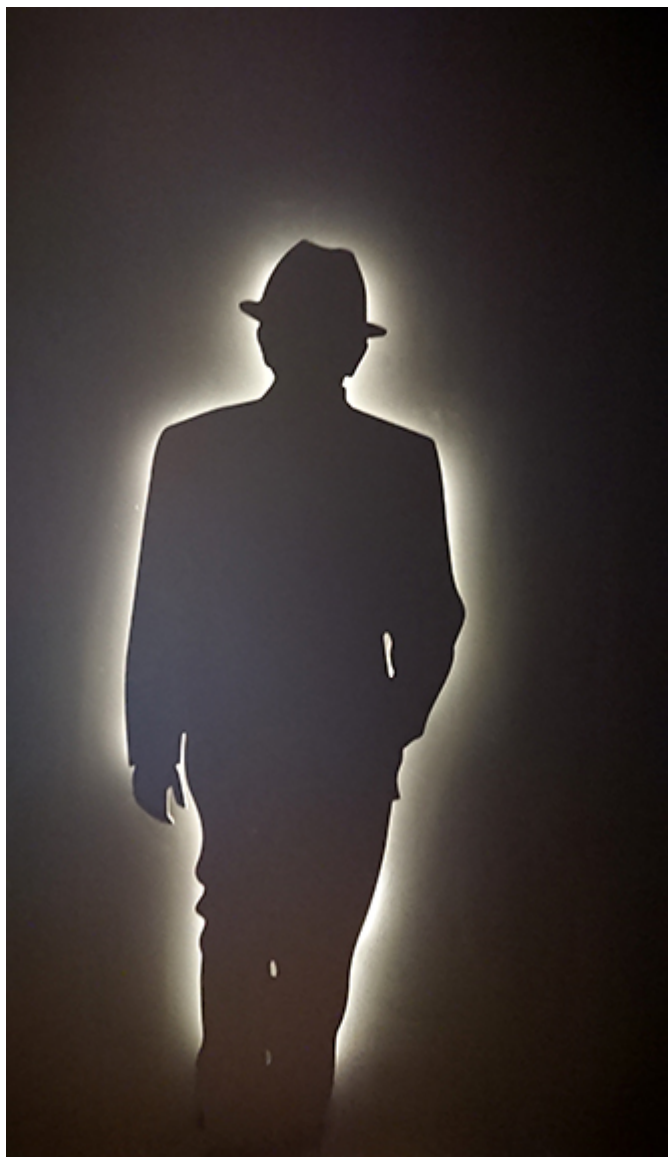
Niebo mam za plecami, pod ręką i na powiekach.

Niebo owija mnie szczelnie

I unosi od spodu.



fot. Katarzyna Szrodt



fot. Katarzyna Szrodt

*

Dopełnieniem artystycznych odkryć grudniowego Toronto stała się otwarta niedawno wystawa „Everybody Knows” – hołd złożony kanadyjskiemu poecie, bardowi o złotym głosie – Leonardowi Cohenowi. W twórczości Cohena słowa i muzyka doskonale współgrają ze sobą, wibrują melancholią, tęsknotą za czymś niemożliwym, ciągłym poszukiwaniem miłości. Na kilku

ekranach rozmieszczonych na wystawie oglądamy Cohena będącego ciągle w drodze, piszącego w pokojach hotelowych, występującego na wielkich scenach i w małych klubach. Zawsze słychać jego śpiew; na jednym video Cohen opowiada o swojej poezji, o tym, że dużo czasu zajmuje mu pisanie, skreślanie, poprawianie, ale zawsze wie kiedy tekst jest najlepszy i skończony. Dużo jest na wystawie prywatnych eksponatów artysty, od notatników, kartek, po gitarę, kapelusz i buty. Zaskoczeniem są rysunki i akwarele dowodzące umiejętności malarskich muzyka. Jeden z jego cytatów widniejący na ścianie brzmi: *If you liberate yourself, anything you lay hand on can sparkle* - Leonardowi Cohenowi udało się wyzwolić w sobie różne talenty które stały się dopełnieniem jego wypowiedzi poetyckiej i muzycznej.



Leonard Cohen, The Kitchen, Montreal 2007, wystawa w Toronto, fot. Katarzyna Szrodt

Przy bliższej analizie koncepcji wystawy uderza brak obecności kobiet- zdjęć i opisów pokazujących ich rolę w życiu artysty, którego przecież całą twórczość liryczną i prozatorską przenikała fascynacja kobiecością. Ekspozycja nie porusza tematu kobiet, które były partnerkami muzyka i towarzyszyły mu na różnych etapach życia jako muzy inspirujące kolejne utwory, czy doprowadzające artystę do rozpacz, co też od razu znajdowało upust w tekstach. Uboższa o ten wątek wystawa „Everybody Knows” jednak mówi dużo o Leonardzie Cohenie i legendzie, jaką pozostawił po sobie. Prezentuje Cohena jako artystę

całkowicie oddanego swojemu powołaniu, fascynującego człowieka, mężczyznę o wielu twarzach.

Kanada podtrzymuje pamięć o zmarłym w 2016 roku artyście. Leonard Cohen nie był nigdy tak popularny w rodzimej Kanadzie, jak był w Stanach Zjednoczonych, Europie Zachodniej i uwielbiany w Polsce. W Montrealu znajduje się mieszkanie Leonarda Cohena z jego wszystkimi meblami i pamiątkami i być może niedługo powstanie w nim stała wystawa. Byłaby to niewątpliwie dodatkowa atrakcja dla miasta, w którym Leonard Cohen obecny jest na dwóch muralach, z których spogląda na zgiełk miasta nucąc w myślach „Songs of Love and Hate”.

Od Nowego Roku artykuły Katarzyny Szrodt będą się ukazywały w pierwszą środę miesiąca.